Rok II. Kraków, dnia 20 Grudnia 1883 r. Nr. 24.

PRZEGLĄD LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W Krakowie: *rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr., kwartalnie 1 złr. 50 ct.*
Z przesyłką w Austryi: *rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.*
W Wielkopolsce: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

Główny współpracownik K. Bartoszewicz.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny Jan Blaschke.
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
Rynek, Hotel Drezdeński.

Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.
Rękopisma nie zwracają się.
Inseraty po 10 ct. od wiersza petitowego, następne po 5 ct.
Cena pojedynczego numeru 30 cnt.

☛ «Przegląd« wychodzić będzie pod temiż samemi warunkami. Przyszły Nr. wyjdzie dnia 12 Stycznia, następne już w oznaczonych stale terminach. Do przyszłego Nru dołączone będą dwie ryciny. ☚

DWIE.

Przez tłum ludzi, gwarny, rozmaity
Szły, niedoli okryte żałobą,
Dwie nie młode, samotne kobiety,
Aż spotkały się wreszcie ze sobą.

Jedna rzekła: Po rodziców zgonie
Wypłakałam żal w męża objęciu,
Na pociechę, w mem sierocem łonie
Bóg pozwolił dać życie dziecięciu.

Być kochaną i kochać wzajemnie,
Czegóż więcej potrzeba kobiecie?
Ach! nie było szczęśliwszej nademnie
Żony, matki nie było na świecie.

Lecz śmierć przyszła, śmierć co wszystko grzebie,
Której żadna prośba nie przejedna —
Przez nią wszyscy najdrożsi mi w niebie,
A na ziemi jam dziś sama jedna!

Druga rzekła: „Matczynéj pieszczoty
Nie zaznałam ni ojca opieki,
Bezimiennej, wzgardzonej sieroty
Nie przygarnął i krewny daleki.

Odmówiły mi nieba urody
Co jest kobiet najdzielniejszą zbroją,
W pustce serca wiek mój minął młody
I głos żaden mi nie rzekł: Bądź moją.

Nigdy szczęścia, miłości, zachwytu
Nie otwarła się przedemną brama;
Od początku tułackiego bytu
Byłam zawsze jak dziś jestem — sama."

. . . .

Z tych dwóch kobiet czytelniczko miła,
Nieszczęśliwą którąż byś nazwała?
Czy tę, która tak *wszystko* straciła?
Czy tę, która *nic* stracić nie miała?

Hajota.

KRONIKA.

Gdybym był przewidział, że ostatni Nr. Przeglądu z r. 1883 nie wyjdzie przed Świętami, byłbym złożył w zeszłym już numerze najserdeczniejsze życzenia szanownym prenumeratorom i rzęsiste uściśnienia i ucałowania rączek pięknym czytelniczkom. Nie powiem, aby ta ostatnia czynność była z mojej strony wielkiem poświęceniem, owszem wykonanie tego obowiązku uważam za cząstkę tych przyjemności, jakie prawemu kronikarzowi w nagrodę za położone w ciągu życia zasługi ofiarowane na tamtym świecie być winny. Zmartwiony więc jestem niezmiernie i tem się jedynie pocieszam, że nadchodzący rok nowy pozwala mi nagrodzić to, czego z rozporządzenia «siły wyższej» przed świętami nie wykonałem.

Przybliżcie się zatem naprzód o piękne panie, zdejmcie rękawiczki ze swych drobnych łapek, nie chowajcie rącząt poza siebie, lecz stańcie rzędem i pozwólcie całe szeregi paluszków ucałować. Cmokam je z taką rozkoszą, jak mały berbeć czekoladową pomadkę, jak podstarzały sybaryta liście hawańskiego cygara. Wzrok mój odurzony nie wie czy spocząć na tej drobnej, białej, a mięsistej rączynie, której ciepła woń upaja zmysły, czy na tej delikatnej, o długich paluszkach arystokratycznej ręczce, przez której śnieżną białość przebijają się niebieskie żyłki, czy wreszcie na tej silnej lecz kształtnej różowej dłoni, co przed kilku dniami łączyła umiejętnie mąkę z mlekiem i jajami, aby zaimponować światu arcydziełem swego natchnienia: struclą przekładaną.

Kończę wreszcie ucałowanie rączek, a dopełniwszy pierwszej części przyjemnego obowiązku, przystępuję do części drugiej: do życzeń. Rzecz to niezmiernie trudna, zważywszy, że każdy na świecie ma odrębne pragnienia i różny zakres wymagań. Ale sądzę, iż każdej pannie mogę życzyć uniwersalnego dobra tj. stałego wielbiciela jej wdzięków i serca, wyłącznie uprzywilejowanego przez kościół i zatwierdzonego przez c. k. władze rządowe. Młodym mężateczkom zaś życzę pociechy z mężów, ich przyjaciół i z tego dorobku małego, co to woła: tata i mama, jada i wrzeszczy po nocach, a we dnie rozbija nosy i czoła, zanim urośnie i kieszeń rodzicom rozbijać będzie. Wszystkim zaś wreszcie bez wyjątku prenumeratorkom «Przeglądu» życzę, aby zostając w dobrem zdrowiu i szczęśliwie płynąc po falach życia mogły przynajmniej przez lat 50 odkładać rocznie 6 złr. na prenumeratę organu, którego z woli Bożej i wydawcy jestem kronikarzem.

A teraz przystąpcie z kolei brodaci i golowąsi, mali i wysocy, łysi i pokryci, siwi i czarni, młodzi i starzy, podagryści i reumatyczni, z katarem żołądka, zdrowi, zakochani, odkochani lub kochać się mający, żonaci i kawalerowie, ojcowie i bezdzietni — słowem wszyscy prenumeratorzy. Jesteście zacni i prawi, rozumni i szlachetni—bo inaczej przecież nie bylibyście prenumeratorami Przeglądu — ale wszystkim wam bra-

DWIE WIZYTY JEGO EKSCELLENCJI.

SZKIC WIERNIE ZDJĘTY Z NATURY.

Przez *Michała Bałuckiego*.

Dokończenie.

W dwadzieścia lat później interesa familijne zapędziły mnie znowu w te strony. Droga wypadła mi właśnie przez wieś pana Andrzeja. Nie mogłem jej minąć, bo chciałem wstąpić do mego dawnego znajomego, księdza wikarego, który teraz był tam proboszczem. Chciałem przytem dowiedzieć się, co się stało z tymi, których znałem przed laty. Dowiedziałem się, że żyją wszyscy, wyjąwszy starej hrabiny-ciotki, która zmarła na mizerere.

— Zresztą — mówił ksiądz — wszyscy przy zdrowiu; ale zmienili się od tego czasu.

— No, spodziewam się — tyle lat. Synowie pana Adama muszą już być mężczyźni, co się zowie.

— Karol kończy już trzydziesty szósty rok.

— I pewnie objął gospodarstwo po ojcu?

— Nie, Julek gospodaruje — Karolek został starostą.

— Co? Karolek starostą? — spytałem zdziwiony.

— Pan Andrzej przeznaczył go do stanu urzędniczego, bo go przekonano, że na tej drodze szlachta najlepiej może przysłużyć się krajowi.

— Więc to z woli pana Andrzeja? Ależ to trudne do uwierzenia.

— Mówiłem ci, że się tu u nas dużo zmieniło od tego czasu. Zresztą sam się przekonasz, bo zapewne zajrzysz do pałacu.

— Chciałbym.

— Tylko czy masz z sobą galowe ubranie.

— A to na co?

— Bo u nas dzisiaj wielka uroczystość, ogromny zjazd. Zapowiedziany jest przyjazd Jego Ekscellencji pana..... mnie się zdaje, że go już raz widziałeś.

— Czy nie ten, którego tak chłodno przyjęto.

— Ten sam.

— Przed którym szlachta demonstracyjnie się wyniosła?

— A dziś ta sama szlachta hurmem zjeżdża się na jego przyjęcie.

— To będzie ciekawe widowisko. Choćby dlatego już warto zobaczyć.

— To spieszmy się, bo na godzinę drugą zapowiedziany przyjazd.

Dobyłem coprędzej frak z kuferka, który od przypadku zabrałem z sobą, ogarnąłem się jako tako i w kwadrans byłem już gotowy. Ksiądz także wdział sutannę z pelerynką, złoty łańcuch drążkowego kanonika, czarne jedwabne rękawiczki i tak wystrojeni poszliśmy do pałacu. Mówię do pałacu, gdyż dawny dwór szlachecki przerobiono teraz na pałac z dwoma skrzydłami piętrowemi, z wspaniałym balkonem upiększonym dorycką kolumnadą, na który wchodziłn się po szerokich kamiennych schodach, a cały front ozdobiono bogatą ornamentyką, Słowem była to teraz prawdziwa pańska rezydencja, ktora w obecnej chwili jeszcze piękniejszą się wydawała, bo ją ustrojono na przyjazd dostojnego gościa w wieńce kwiatow, zieleni, dywany i rożne akcesorja. — Wjazdową bramę — była to nawiasem mówiąc nowa brama, budowana z ciosu z rzeźbionym herbem i hrabską koroną, udekorowano także girlandami i chorągiewkami różnej barwy, pomiędzy ktoremi przeważały czarno żółte. za bramą tłoczył się lud wiejski, przypatrując się ciekawie przygotowaniom do uroczystości, zaglądał przez sztachety do ogrodu, gdzie zawieszano lampy do wieczornej illuminacji i wkopywano moździerze, z ktorych miano walić na cześć gościa. Za drzewami ogrodu widać było harcujących na koniach parobków poprzebieranych w kerezje i krakuski. Ekonom przebrany także za krakusa komenderował nimi, ustawiał do szeregu, klnąc przytem prawdziwie po ekonomsku na niezdarnych jeźdźców i niesforne szkapy, które w żaden sposob nie dały się utrzymać w szeregu. Spytałem księdza co znaczyło to przebranie galicyjskich chłopów na krakowską modę.

— To jest — odrzekł mi — tak zwana banderja, która ma wyruszyć do granic wsi na powitanie dostojnego gościa.

— O ile sobie przypominam, to Ekscellencja nie był dawniej amatorem takiej narodowej maskarady.

— Teraz zmienił zdanie, bo rząd toleruje tę niewinną zabawkę, a Ekscellencja jest echem rządu.

— A to co? — spytałem pokazując na brodatych krakusów, ktorzy z instrumentami pod pachą stali w klombie akacyjowym.

— To żydowska kapela z miasteczka, którą sprowadzono na tę uroczystość i przechrzczono na krakusów, jak pan widzisz. Chciano ich jeszcze na konie powsadzać, ale brakło im odwagi, bo żaden z nich, jak żyje na koniu nie siedział. Ukryto ich więc

---

kuje jednej ważnej rzeczy, to jest pieniędzy. Tak jest, bo chociaż są pomiędzy wami mniej lub więcej zamożni, są nawet tacy, ktorych plebs bogaczami mieni, każdy z was jednak myśli sobie: «gdyby choć tysiąc reńskich więcej rocznego dochodu» lub: «gdyby to człowiek jeszcze sąsiednią wioskę lub ten dom narożny mógł nabyć za gotówkę,» albo: «zdałoby się dla Zosi lub Mani zaokrąglić posażek do 50 tysięcy», albo: «gdyby tak człowiek miał co niedziela na butelczynę dobrego węgrzyna i na dobre cygarko po obiedzie», albo: ożeniłbym się z Wandzią, gdybym wygrał na «linckiej» z pięćset papierków» — słowem każdemu z was «zdałoby się» nieco drobnych. Otóż życzę wam wszystkim złapania za tren [1]). Fortuny i niepuszczenia jej dopóty, dopóki nie wysypie z mieszka przyzwoitej porcji marek, rubli i guldenów.

[1]) Tren (train, trainant) czyli ogon, stanowi nieodzowną część ubrania modnej kobiety, a ponieważ Fortuna jest kobietą i to kobietą ładną a płochą, przeto bezwątpienia nie żałuje na ogon wydatku.

O pieniądze zresztą nie jest tak trudno jakby się na pozor zdawało. Tysiące jest sposobów do ogólnego dobrobytu, a jeden z nich ośmielam się przedstawić. Bardzo to jest ładnie, że prenumerujesz łaskawy panie sędzio lub doktorze «Przegląd lit. art.» — ale czy na tem się kończą twoje względem niego obowiązki? Nie! — obowiązkiem twoim piękna prenumeratorko i zacny prenumeratorze przysporzyć «Przeglądowi» jak największą ilość abonentów. Niech każdy z dotychczasowych prenumeratorów tylko 3-ch nowych dostarczy, a ci nowi po 2-ch choćby ze swojej strony, a rezultaty byłyby następujące:

1) «Przegląd» wychodziłby za tęż samą cenę raz na tydzień, a nie co dwa tygodnie. Zarobiliby na tem drukarnie i papiernie krajowe, litografje, zecerzy, księgarze, a wreszcie literaci i artyści.

2) «Przegląd» wychodząc jako tygodnik dawałby rocznie dwa razy tyle papieru, przez co już majątek każdego prenumeratora powiększyłby się o kilkanaście centów.

3) Przegląd taniością i bogactwem treści przewyższyłby pismidła niemieckie, ktoremi cała Galicja jest zalaną. Straciłyby one więc przenumeratorów, przez co dziesiątki tysięcy pozostałyby w kraju, a nie szły na bogacenie zagranicy.

4) Wydawca rósłby w pierze, a ponieważ jak wiadomo jest on dosyć przedsiębiorczy, rozwinąłby jeszcze szerzej działalność swoją na polu tanich wydawnictw. Za co dziś płaci się 8 lub 10 złr. możnaby u niego nabyć za 3 lub 4 złr. jak to już uczynił z dziełami Słowackiego, Krasickiego itd. Kto więc wydaje na książki rocznie 100 złr. mógłby wydawać dwa razy mniej, lub za też same pieniądze mieć dwa razy więcej pokarmu umysłowego. W pierwszym wypadku zaoszczędziłby 50 złr. rocznie, w drugim razie zbogaciłby swój umysł, co jak wiadomo na materjalne stosunki ma również wpływ bardzo znaczny.

5) Kronikarz otrzymywałby świetne honorarium. Byłby więc wesoły, pełen życia i humoru. Humor ten odbiłby się na kroni-

w klombie, jak słowików, ztąd będą przygrywać Jego Ekscellencji.

Jeszcze nie miałem czasu przypatrzyć się lepiej tym żydowskim krakusom, którzy głośno szwargotali i stroili instrumenta, gdy ksiądz pociągnął mnie znowu za rękaw i wskazując na powóz, który właśnie w tej chwili przejechał tuż koło nas, a w którym siedział jakiś urzędnik w zielonym mundurze ze złotym kołnierzem, w pirogu i jasnych pantalonach — szepnął:

— To on.

— Kto taki?

— Nasz dawny Karolek.

— Ten? ten? — pytałem nie mogąc wyjść z zadziwienia i wlepiłem oczy w pana starostę, który wysiadał właśnie przed gankiem z powozu, witany uniżonemi ukłonami zgromadzonych tam osób. Trudno mi było uwierzyć, że to ten sam Karolek, którego znałem w rogatywce, czamarce i srebrną klamrą z orłem i pogonią. Ten Karolek ubrany teraz w mundur i pirog, ta szlachta kłaniająca się z lokajską uniżonością, te pejsate żydki przebrane za krakusów, wszystko to zrobiło mi wrażenie, jakbym się przypatrywał jakiejś maskaradzie. Zagapiłem się i zamyśliłem, tak, że aż ksiądz musiał mi przypomnieć, że czas nam wejść do pałacu.

Weszliśmy tam bocznemi drzwiami, prosto do pokoju pana Andrzeja. Zastaliśmy go przy ubieraniu, zajęty był właśnie opasywaniem kontusza.

Wygalowany lokaj, bo cała służba w pałacu była teraz w galonach, liberji, świecących guzikach, trzymał koniec pasa a pan Andrzej kręcił się jak derwisz zawijając się w niego.

— Znowu źle — rzekł — widząc, że koniec pasa wypadł gdzieś z tyłu, a ujrzawszy księdza wchodzącego zawołał ucieszony: dobrze że idziesz proboszczu, pomożesz nam, bo nie możemy sobie dać rady z tem wiązaniem.

— Pan kolator nie poznaje — odezwał się ksiądz wskazując na mnie.

— Gdzieś znam — twarz mi nie obca.

— Dawny nauczyciel.

— A, to pan — kopę lat — bardzo mi miło — niechże panowie siadają, ja zaraz będę gotów, tylko ten pas nieszczęśliwy.

I począł zawijać się na nowo. Z niezgrabnego zachowania się jego przy tej operacji poznałem, że nie oddawna musiał używać tego stroju i osmieliłem się głośno wypowiedzieć to zdanie.

— Zgadłeś pan — odrzekł prostodusznie pan Andrzej, bo znasz mnie, że byłem zawsze nieprzyjacielem wszelkich demonstracyj; ale skoro widzę, że wyższe sfery nietylko nie mają nic przeciw temu, ale nawet życzą sobie, żeby to był niejako urzędowy strój naszej reprezentacji, więc i ja chciałem się zastosować do tego. Dziś moj pierwszy występ w tym stroju przodków moich, bo oczekujemy wielkiego gościa, znacznej figury położonej wysoko w Wiedniu. Nasz bardzo bliski kuzyn.....

— Miałem sposobność widzieć Jego Ekscellencję przed dwudziestu laty — rzekłem z pewnym sarkastycznym uśmiechem, którego jednak pan Andrzej zajęty ubieraniem się nie spostrzegł, bo najnaiwniej w świecie zapytał:

— Gdzie?

— Tu, u pana.

— Tu? — A więc musicie wiedzieć, jak szlachta nasza nie umiała wtedy ocenić tego człowieka, zapoznawała jego zasługi. A koniec końcow się pokazało, że on jeden miał rozum za nas wszystkich i gdybyśmy go byli słuchali, nie byłoby się stało to, co się stało. To też teraz on tryumfuje, a nam czołem bić przed jego mądrością polityczną. — Tak, tak — czołem, bo tacy ludzie to nasi zbawcy, nasi dobrodzieje.

I rozgrzany własnemi słowami począł z ferworem wielkim okręcać się pasem i to czego nie mógł dokazać na drodze deliberacji, zastanowienia, dokazała jedna chwila natchnienia, bo węzeł wypadł szczęśliwie na samym środku brzucha. Zadowolniony z tak pomyślnego rezultatu pan Andrzej z fantazją zarzucił w tył rękawy kontusza i wtedy dopiero zobaczyłem, czegom przedtem nie spostrzegł, na amarantowem tle kontusza order na czarno-żółtej wstążeczce.

— A to proszę jasnego pana — odezwał się lokaj niosąc ze szafy coś we futerale.

— Karabela — zawołał pan Andrzej — tam do djabła, na śmierć zapomniałem, dawaj, trzeba będzie jakoś kunsztownie po pod pas podwiązać. Księże proboszczu — pomóż, bo to ty majster na takie rzeczy.

Ksiądz proboszcz wraz z lokajem zabrali się do przyczepienia panu Andrzejowi tej ornamentyki i jeszcze nie uporali się zupełnie, kiedy do pokoju wpadł jakiś szpakowaty jegomość.

— Jak się masz Andrzeju — ty po polsku?

— Aibo co? — rzekł zmieszany trochę pan Andrzej tem nagłem zapytaniem — może w Wiedniu nie życzą sobie?

— Broń Boże, tylko widzisz biłem się z myślami, co zro-

---

kach, ktore tryskałyby dowcipem i świeżością myśli. Wprawiałyby one znowu w dobry humor czytelników, a dobry humor to oznaka zdrowia, to środek zapobiegawczy przeciw wielu chorobom. Przypuściwszy, że każdy z prenumeratorow wydaje dla siebie i swojej rodziny przecięciowo tylko 50 złr. na doktora, aptekę wody i kąpiele, proszę obliczyć o jaką to sumę rocznie powiększyłby się kapitał prenumeratorów «Przeglądu.» Weźmy dalej na uwagę, że zdrowa ludność to bogactwo kraju, że podczas choroby człowiek nic, albo mało co zarabia, a ujrzymy jak na dłoni olbrzymie rezultaty, jakie dobry humor kronikarza sprowadziłby dla kraju i społeczeństwa.

Podsumujmy teraz to wszystko, a przyjdziemy do przekonania, że gdyby Redakcja N. Reformy zwołała była zgromadzenie ludowe dla przeprowadzenia rzuconego tu przezemnie projektu, większą by uczyniła przysługę krajowi niż przez zwołanie zgromadzenia ludowego w sprawie decentralizacji zarządów kolejowych. Centralizacja bowiem prenumeratorów około «Przeglądu» przyniosłaby również doniosłe rezultaty, a jest łatwiejszą do przeprowadzenia jako polegająca na dobrej woli jednostek, a niezależąca od «mężów zaufania», ktorym więcej znaczy jedno słowo ministra handlu, niż tysiąc słów umotywowanych przez pp. Abskiego, Babskiego i wielu innych. Z tego wniosek: wybierajmy ludzi niezależnych, a nie będziemy potrzebowali zgromadzen ludowych, jeżeli zaś wybierzemy chwiejnych lub karjerowiczów.... to także zgromadzenia ludowe nam nie pomogą.

Jak widzą czytelnicy godzę się w zasadzie z drem Jordanem, ale tylko w zasadzie. Mam bowiem ten zwyczaj, że jeżeli mnie który ze znajomych powie: «będzie u mnie dziś pulka preferansa, przyjdź jeżeli masz ochotę» to albo wcale nie idę albo też poszedłszy gram w preferansa. Takie jest moje wyznanie polityczne i nigdy jeszcze nie wystąpiłem z przemową: «nie chcę grać w preferansa, panowie grać także nie powinniście, rozejdźmy się do domu lub zagrajmy w marjasza.» Każdy bowiem wówczas ma prawo mi powiedzieć: «na co się pan dobrodziej do nas fatygował? Poszukaj pan sobie gdzieindziej partyjki marjaszowej, a nam nie psuj zabawy.»

Otóż dr. Jordan nie zgadzając się ze zgromadzeniem ludowem miał najlepszy śposob zamanifestowania swojego przekonania idąc na partję marjasza. Nie uczynił tego, popsuł zabawę N. Reformie, a choć preferans przyszedł do skutku, to zanim się uformował sporo czasu minęło na przygotowaniach, co jak wiadomo uważają preferansiści za stratę niczem niewynagrodzoną.

A propos preferansa wskazuję prawodawcom austrjackim na jedną lukę w uchwalonej przez nich ustawie przemysłowej. Na podstawie jej obowiązani są zawiązywać się w stowarzyszenia przemysłowcy i rękodzielnicy, pomiędzy ktorymi są wymienieni tacy, co nie mają wyraźnej potrzeby i interessu stowarzyszania się jak np. księgarze, opuszczono zaś takich, ktorych połączenie pod wielu względami byłoby korzystne. Nikt na-

bić, czy wziąść kontusz czy frak i od przypadku wziąłem jedno i drugie. Ale skoro ty po polsku to i ja. — A gdzież Julek?

— Wyjechał na stacją kolei na przyjęcie gościa.

— No, a banderje nie poszły z nim?

— Banderje będą go witać na granicy naszego majątku — ja je poprowadzę.

— Doskonale pomyślane. Widziałem je za ogrodem. Dzielne chłopaki jeden w drugiego. Aż serce rośnie patrzeć na tych wiarusów, bo to takie nasze, takie polskie.

Łzy miał w oczach kiedy to mówił. Nagle zmienił przedmiot i zapytał?

— A toasty czy już ułożone, kto po kim?

— Naprzod ja, jako gospodarz.

— Nic słuszniejszego.

— Potem pan starosta (pan Andrzej tak zawsze tytułował swego syna) jako reprezentant rządu.

— Racja — wielka racja. — A potem ja!

— Nie, według programu ma potem zająć głos marszałek powiatowy.

— Co on powie? — zmiłujcie się — będzie dudlał i dudlał i zanudzi Ekscellencję na śmierć, bo to żaden mowca. — Jędrusiu, jak mnie kochasz — pozwol mnie mówić po staroście.

— Ale quo titulo.

— Tytułem afektu, czci, uwielbienia, jaki żywię dla Jego Ekscellencji. Będę wyrazem uczuć całej szlachty. Andrzeju—znasz mnie przecie, że nie pokpię sprawy. Ja zęby zjadłem na gadaniu. Palnę mówkę, że to ha.

— To możeby później.

— Kiedy widzisz zależy mi na tem, aby zwrócić na siebie uwagę Jego Ekscellencji, bo uważasz — moj Adaś.....

Ze względu na obecność naszą, ktorą w tej chwili dopiero spostrzegł, wziął pana Andrzeja pod rękę i odprowadzając na bok coś mu po cichu tłomaczył i rozpowiadał.

— Czy poznałeś go? — zapytał mnie ksiądz.

— Twarz mi nie obca.

— Bywał tu częstym gościem — nazywa się — tu wymienił mi jego nazwisko.

— To to on? — Ależ on wtedy najwięcej piorunował na Jego Ekscellencję, był pierwszym, który dał hasło do wyjazdu.

— A dziś doprasza się, aby pierwszy mógł go witać. Patrz co to czas nie może.

— No to prawda, że chłopak lampart trochę — odezwał się głośniej ów jegomość pod oknem, ale cóż z nim zrobię? — Niechby się zawiesił przy jakimś banku, a Ekscellencja przy swoich wpływach może pchnąć chłopaka w świat. Mogłbyś i ty słowko przemówić za nim, ty jego krewny, nie będzie ci chciał odmówić. Za to możesz mu mojem i całego kraju imieniem zaręczyć, że rząd w każdej sprawie może liczyć na nas, że staniemy jak jeden mąż, zresztą ty już będziesz wiedział co powiedzieć, mój drogi!

Uścisnął go kordyalnie za rękę i ucałował w oba policzki.

Huk moździerza przerwał te czułości.

— Pociąg już na stacji, za kwadrans Ekscellencja tu będzie a niechże ja spieszę — zawołał pan Andrzej i wybiegł pędem z pokoju, a za nim ów frakowo-kontuszowy mówca, my także z księdzem wyszliśmy na balkon, który był prawie cały zapełniony obywatelstwem, przybyłem nawet z dalszych okolic na powitanie dostojnego gościa. Ciekawe tam można było widzieć fizjognomje i figury, fraki najrozmaitszej mody i jakości, począwszy od nowiutkich prosto z igły i eleganckich, a skończywszy na takich, których pomięte fałdy i krój starożytny wskazywały, że Bóg wie jak dawno spoczywały w kuferku. Wielu ze szlachty nie przyzwyczajonych do galowego stroju i twardych obcisłych kołnierzyków, pociło się z umęczenia; tragikomiczne wrażenie robiły ich apoplektyczno-czerwone twarze, wysadzone na wierzch oczy i uroczyste, poważne miny. Zabawniej jeszcze wyglądali niektórzy kontuszowi z angielskiemi faworytami, chudzi tak, że ciągle poprawiać i do gory podnosić musieli pasy, ktore miały widoczną ochotę spuścić się za kolana. Robili oni wrażenie statystów teatralnych poprzebieranych w suknie nie na nich robione i udających niezręcznie przybrane role. Usiłowali oni rozmawiać między sobą; ale rozmowa nie szła, rwała się ciągle, bo myśl i uwaga wszystkich zwróconą była w stronę alei, w której lada chwila miał się ukazać powoz Jego Ekscellencji. Niektórzy powtarzali sobie w myśli słowa powitania, szczególniej ów, którego widzieliśmy przed chwilą w pokoju pana Andrzeja. Z jego twarzy zamyślonej, oczów niespokojnych łatwo można było poznać, że myśl pracowała nad układaniem mówki, chodził roztargniony, odpowiadał nieprzytomnie na pytania i kręcił się wszędzie mani-

---

przykład nie poważy się zaprzeczyć, że preferansiści, wiściarze, tarokowcy, bezikarze są przemysłowcami, a wiściarze i bezikarze nawet rękodzielnikami, gdyż praca rąk wielką gra rolę w ich przemyśle. Cech utworzony z tych przemysłowców i rękodzielników mógłby błogie przynieść rezultaty. Już sama kwestja czy wychodzić pod grającego z najmłodszej czy najstarszej powinna raz być zdecydowaną. Podział na majstrów, czeladników i uczniów byłby tu więcej niż gdzieindziej pożytecznym. Stanowisko tak zwanych «bajzycerów» powinno być również stale określone i uregulowane. Stowarzyszenie wzajemnej pomocy dla nieszczęśliwych w prowadzeniu przemysłu zapewniałoby jaki taki byt ofiarom losu kosztem ulubieńców fortuny. Niemający konsensu niemieliby prawa prowadzić przemysłu, konsens zaś stowarzyszenie mogłoby odebrać niezdarnym lub zbyt figlarnym. Opłata od konsensu powiększyłaby dochody panstwowe, przeciw czemu, sądzę, minister skarbu nie miałby nic do powiedzenia.

Drugi więc już projekt składam do laski prenumeratorow i prezesow przyszłych zgromadzeń ludowych. Szczegółowem obrobieniem mogę służyć na każde żądanie, a tymczasem w kolendowe czasy dzielę się z czytelnikami podsłuchaną na ulicy św. Tomasza kolendą:

Paweł. A spis Antek, Staszek, Ludek, Janek, Michał, Zygmuś, Loluś, Stachu? Ozwijze się psecie ktory z was, bo umrę od wielkiego strachu. Ono coś pono takiego jako słońce tak jasnego świeci na Wiślnej.

Antek. Obyześ spał, cego wrzescys, czy cię pono niefortuna łupi, — spis a gadas, marzy ci się lada Judas, a ty bajes głupi— że się tam coś pojawiło; czy ci spać chłopie niemiło? że wrzescys gapo.

Paweł. Oj nie spięć ja mój Antecku, ani lada cego tu wam prawię.—Już to chwila jako widzę wielką jasność tu na scernym jawie.— I tak mi się trzęsie dusa ze dostanę paralusa z wielkiego strachu.

Ludek. Nie pleć plotka, nie budź drugich, boć to powod twego strachu ocywisty — Ze ci chłopie się przyśniły jakieś czary albo socjalisty — A gdy umrzesz jako słysę — Ja nekrolog twój napisę — i to galancie.

Staszek. Cicho Ludku, nie bajajże, czy nie widzis że się strasznie dzieje? — Nikt nie chodzi do tryjatru, od miesiąca mi się geszeft chwieje — Kijem sobie tęgi kupił i publiczność będę łupił — za tę jentrygę.

Zygmuś (przez sen). Jakieś światło bije w ocy, nie wiem cy śpię cy na jawie drzymię — A to pono coś takiego cego nawet nie widziałem w Rzymie — Gadał tam Staś do obrazu, a obraz doń ani razu — i tyla było.

Michał. Miły Janek ty najlepiej mozes wiedzieć jako człowiek stary — Wiemześ mądry, boś ty z młodu słycham chodził z tablicą do fary — Ja niedawno za pastucha, więc nadstawiam pilnie ucha — rzeknij a madrze.

Janek. Stach mi mówił, a on czyta z pisanego jeśli tylko zechce — Że to szczęście prostą drogą idzie ku nam, co mi serce łechce — Posłuchajmy tego grania i owego tam śpiewania — a będziem mądrzy.

Głosy za sceną:

Narodził się dziś amator
I nowy prenumerator
Gloria, gloria, gloria.

K. B.

festując swoją gorliwość w przygotowaniach na przyjęcie dygnitarza. To biegał do klombu do owych żydków przebranych za krakusów i pouczał ich kiedy, za jakim znakiem mają grać hymn, a kiedy narodowe pieśni, to nauczycielowi wiejskiemu radził w jakim porządku ma ustawiać przy schodach pałacu dziewczęta, które miały rzucać kwiaty pod nogi gościa, to znowu parobkom zajętym nabijaniem moździerzy wydawał głośne komendy, a od czasu do czasu wyciągał szyję w stronę bramy wchodowej upatrując niecierpliwie rychło się ukaże upragniona kawalkada. Wiele innych szyj i głów także w tę stronę się obracało jak chorągiewki za wiatrem.

Nareszcie z za kłąbów kurzawy ukazały się w alei czerwone krakuski i słyszeć się dało dzwonienie kopyt końskich. Dano znak, moździerze zaczęły walić, że aż ziemia jęczała, muzyka w przyspieszonym takcie zagrała marsza, a szlachta zbiwszy się w gęstą massę ustawiała się koło drzwi i na schodach.

Pan marszałek z jednej strony stanął i krząkaniem przygotowywał się do mówki a pan Franciszek, ten właśnie, który tak gorliwie się krzątał i zajmował wszystkiem, stanął z drugiej strony i wezwawszy syna do siebie, aby go mógł przy sposobności przedstawić i polecić Jego Ekscellencji, gotował się także do oracji. Chciano go usunąć na dalszy plan, ale zaprotestował oświadczając, że on będzie przyjmował gościa.

— Za pozwoleniem — ja tu jestem od tego — rzekł marszałek, — jako reprezentant władzy autonomicznej.

— A ja zostałem upoważniony przez samego gospodarza, więc w jego imieniu.

— Nie przystajemy, nie pozwalamy — odezwało się kilka głosów — proszę się usunąć.

— Ja nie ustąpię panowie nikomu tego zaszczytu.

— Secessionista!

— Ależ panowie — pozwólcie.

— Marszałek będzie mówił.

Spór ubiegających się o zaszczyt witania gościa przerwało jego przybycie. Lud zgromadzony przed bramą, banderje otaczające powóz, szlachta zgromadzona na balkonie, wszystko to zaczęło krzyczeć głośno: wiwat, niech żyje! byli nawet tacy, którzy w zapale wołali: hoch! es lebe etc., dziatwa zaczęła co tchu wypróżniać koszyki z kwiatów i rzucać pod gościa, na gościa, gdzie się dało i darła się także całą piersią, co razem z muzyką i hukiem moździerzy robiło niesłychaną wrzawę. Wśród tego Ekscellencję wysadzał starosta wraz z gospodarzem z powozu. Stanąłem na ławce, aby mu się lepiej przypatrzyć. Od czasu jak go nie widziałem przybyło go drugie tyle prawie. Była to ogromna masa cielska wpakowana i zapięta w długi angielski surdut i przykryta wysokim cylindrem, którą trzeba było koniecznie dźwigać i podtrzymywać, bo się o własnych siłach poruszać nie mogła. Funkcję tę spełniali synowie gospodarza i jeden lokaj, którzy wspólnemi siłami windowali Jego Ekscellencję na górę.

Na ostatnim schodzie zastąpili mu równocześnie drogę marszałek i pan Franciszek.

— Nadszedł nareszcie ten dzień — odezwał się marszałek i krząknął.

Z tego chwilowego przestanku skorzystał pan Franciszek i donośnym głosem zaczął:

— Ekscellencjo! — chwila to ważna, uroczysta w dziejach naszego autonomicznego żywota.

Ale Ekscellencja kiwnął ręką i tonem rozkazującym rzekł:

— Potem, potem—i wtoczył się wraz ze swymi setellitami w głąb pałacu.

— Jego Ekscellencja jest zmęczony, potrzebuje wypocząć, objawił pan starosta.

— Jego Ekscellencja jest zmęczony — powtarzano sobie w tłumie nabożnie i obaj mowcy z kwaśnemi minami zeszli z placu walki za innymi do pokojów, gdzie już stały zastawione stoły z wódeczką i przekąskami. Szlachta wygłodzona długiem oczekiwaniem i emolucjami z zapałem rzuciła się do zakrapiania robaka i ładowania żołądków.

W godzinę potem rozeszła się wieść, że Ekscellencja ma się już lepiej i raczyła zażądać przekąski. Poniesiono mu ją na ogromnej srebrnej tacy ze wszystkiemi możliwemi akcesorjami. Dopiero podczas obiadu miała się Jego Ekscellencja ukazać w salonie. Wszyscy gotowali się na tę chwilę uroczystą. Każdy obmyślał sobie w duszy, w jaki sposób będzie mógł najlepiej zwrócić uwagę Jego Ekscellencji, co powiedzieć, jaką zrobić minę, aby mu się najkorzystniej przedstawić. Pan Franciszek odwoławszy syna na bok pod okno dawał mu nauki względem znalezienia się w obec dygnitarza, od którego los jego zależy. Pan marszałek chodząc zamyślony po pokoju, krząkał co chwila i stylizował mówkę namyślając się, jakim toastem byłoby najwłaściwiej ją zakończyć. Jednem słowem wszyscy zajęci byli tylko osobą Jego Ekscellencji, który jak jakie tajemnicze bóstwo ukryty w głębi sanctuarium zajęty był w tej chwili pokrzepianiem się po trudach podróży. Pan Andrzej wraz z synami usługiwali gościowi, mając sobie to za zaszczyt wielki, że im pozwolił znajdować się w swojem towarzystwie. Donoszono znowu coraz to nowe przekąski, to ciepłe, to zimne, wina i likiery rożnej nazwy. Ekscellencja jadł i pił z apetytem ku wielkiemu zadowoleniu gospodarza.

Nareszcie nadeszła pora obiadu. Drzwi prowadzące do pokojów Jego Ekscellencji otwarły się, wszedł pan Andrzej z synami i oświadczył, że dostojny gość udał się już na spoczynek i jemu polecił wyrazić zgromadzonym podziękowanie za tak serdeczne przyjęcie i zapewnić ich o najlepszych chęciach Jego Ekscellencji dla kraju, a w szczególności dla obywateli — dla szlachty.

Ksiądz, który w tej chwili wszedł do sali, szepnął mi na ucho, że wszystko to komedja, że Jego Ekscellencja wcale nie myśli o spaniu, tylko kazał sobie podać obiad osobno, aby nie był zmuszonym słuchać mówek szlachty, które by go nudziły i psuły mu apetyt. Bystry obserwator mógłby się był łatwo tego domyśleć z zaambarasowanej miny gospodarza i jego syna młodszego, bo starszy przyzwyczajony do innych tajemniczych zleceń w czasie swojej służby rządowej, umiał nie pokazywać po sobie tego, co wiedział. Bądź jak bądź takie lekceważące traktowanie szlachty, która o tyle mil zjechała się na powitanie Jego Ekscellencji, mogło obrazić. Ale czy sądzicie, że się obrażono?

Broń Boże, owszem z uśmiechem powtarzano sobie zapewnienie o najlepszych chęciach Jego Ekscellencji. Rozserdeczniona szlachta chciała nawet głośnemi owacjami okazać radość swoją, gdyby nie to, że obawiała się mącić spoczynek Jego Ekscellencji. Dla tego samego powodu nakazano milczenie moździerzom i zaniechano illuminacji, a po obiedzie wszyscy cichaczem rozjechali się do domów, wyjąwszy pana Franciszka i kilku innych, którym zależało wiele na osobistem widzeniu się z Jego Ekscellencją i złożeniu w ręce jego pokornych próźb swoich. Ale i ta nadzieja zawiodła ich, bo na drugi dzień rano, kiedy jeszcze spali, Ekscellencja w skutek otrzymanego telegramu wyjechał nagle do Wiednia.

Tak odbyła się druga wizyta Jego Ekscellencji, wcale niepodobna do pierwszej. Prawda? Spytacie, co za powód tej zmiany wielkiej? Czy przez ten czas i Ekscellencja zmieniła się, zmieniła swoje przekonania, zasady, sposób życia? Broń Boże, został takim jak był, na włos się nie zmienił; tylko ta reszta się zmieniła do niepoznania w skutek nowych prądów, które obróciły chorągiewkowe umysły w inną stronę.

Z JESIENNYCH MYŚLI.

I.

PRZYRODA I ŻYCIE.

Kochanemu bratu Michałowi
Rossowskiemu wiersz niniejszy
poświęcam. *E. R.*

Zimnym promieniem oświeca słońce
Bezlistne konary drzew —
Potężnej woli posłuszne gońce,
Przeniosły ogień na ziemi końce,
Gdzieś do dalekich — cieplejszych stref.

Ptak do zamorskiej wraca krainy —
Opuszcza rodzinną błoń...
Mróz okrył szronem drzewa — rośliny,
Znikły bławaty — róże — jaśminy,
Lazurów nieba pobladła toń...

Orkan piersiami wiatry nadyma
I jary grzmią echem burz...
Innemi patrzaj na świat oczyma:
Zniknęło lato — nadchodzi zima —
Niema już kwiatów — słońca i — róż!..

* * *

Ach! dziś z twej młodość śmieje się twarzy
Wiosną dwudziestu lat...
Oko się ogniem natchnionym żarzy,
Płomienna dusza o szczęściu marzy —
W sercu nadziei rozpęka kwiat!..

Lecz kiedyś przyjdą chwile jesienne,
Przeminie wiosny czar...
Ostygną ognie serca płomienne —
Młodości mary — rojenia senne,
Ostudzi zimno — wypali żar!..

Potężna wola kieruje światem,
A nigdy — ślepy traf...
Gdyśmy bogaci młodości kwiatem
Cieszmy się szczęścia gasnącem latem,
Posłuszni woli — odwiecznych praw!..

Zwiniacz 10 października 1883.

II.

REZYGNACJA.

Przeminął już czas gorących dni
I tropikowy przeminął skwar
Promienne słońce, jak dawniej lśni,
Lecz wulkaniczny w niem wygasł żar...
Pożółkły wkoło szmaragdy drzew,
Kwiaty z wiośnianych odarte kras —
Słowiczy w gaju zamilknął śpiew
I nie brzmi chórem ptaszęcym las...

I mój czarowny przeminął sen
I po raz wtóry nie wróci już...
Przed okiem szereg codziennych scen,
A w duszy walka — życiowych burz!..
Przeznaczeń moich — spełniony los...
Kwiaty mych marzeń podeptał świat —
Z nadziei płonie — ofiarny stos,
Na który ciskam — ostatni kwiat!..

Bieniów 1882.

III.

KWIAT SZCZĘŚCIA.

(*Przekład z Weilen'a*).

Przy drodze jabłoń stoi tuż
Niczem nie skryta przed światem,
Konarów trudno dostrzedz już,
Tak gęstym okryta kwiatem.
O biedne drzewo! dola twa
Zaiste nieszczęśliwa!
Przechodnia bowiem ręka zła
Wciąż kwiaty twoje — zrywa!..

Dlatego ukryj — wierzaj mi —
Swą miłość w sercu — na dnie,
By kwiatu, który w duszy tkwi,
Nikt ci nie zerwał zdradnie...
Miłości krzew niech skryje las
Przed samolubnym światem,
A wnet czarownym, pełnym kras
Pokryty będzie kwiatem!..

Bieniów 27 lipca 1882.

Edmund Rossowski.

KLASYCYZM I ROMANTYZM.

Dokończenie.

VII. *W ogrodnictwie* dwa spotykamy objawy. Do pierwszego, francusko-włoskiego należą owe strzyżone ściany szpalerów z marmurowemi posągami z wodotryskami i kaskadami, a tak urządzonemi terassami i przecięciami linji ulic, by tworzyły widoki, despoints de vue i złudzenia, słowem wszystko razem jest to negacją natury, podobać się mogącą jako otoczenie stosownych pałaców i przy bardzo imponujących rozmiarach. Drugi, później nastały, jest ów nudno sentymentalny szpecący park angielski grotami, chatkami pustelnika, ruinami, świątyniami greckiemi, obeliskami itp. małemi, brzydkiemi dziwactwami.

VIII. *W strojach*, gdy rewolucja francuzka zarzuciła narodowe ubranie, ktorego moda zwykle z każdym panującym się tylko zmieniała, a wprowadziła warjackie niby greckie ubranie gdy potem przeminęły excentryczności ery cesarstwa, nastała tak zwana *moda paryzka*, ktorej się świat cały niewolniczo poddaje, którą nasladuje, a nawet nie zapyta kto też ją dyktuje. Cesarzowa Eugenia nią zaczęła kierować, z jej upadkiem wróciła znowu w owe anonimowe ręce. Że w takim stanie rzeczy o estetycznej myśli mowy być nie może, to oczywista; raz szeroko, raz obcisło, to za długo, to za krótko, a zawsze brzydko i głupio, zaś szczęście, jeżeli nie bezczelnie zarazem.

Ostatnią wreszcie według mego zdania kategorją jest

III. Sztuka filozoficzna.

Nazwa sama już rzecz tłomaczy. Mamy tu na myśli sztukę rozważającą, samowiedną, słowem filozoficzną. Nie jest ona wprawdzie tak czarującą jak sztuka naiwna, lecz i ona w technice równie doskonała jak drugi oddział, a wyższa od niego duchem, płodzi arcydzieła zarazem do umysłu i do uczucia przemawiające, a zwykle ma cele zacne i wzniosłe. Przejdźmy i tutaj do szczegółów.

I. *W architekturze* spotykamy tu wprawdzie wszystkie style oryginalne, ale tak użyte, by się manifestowała harmonja między przeznaczeniem budynku a jego zewnętrznością. Muzeum będzie np. greckie, kościół protestancki stylu półkolistego, więzienie bizantyńskie, kościół katolicki, ratusz będą ostrołukowe, pałac, uniwersytet renesansowe, willa rokoko, kawiarnia w ogrodzie maurytańska. Również ornamentyka frontowa będzie w zgodzie z wewnętrznem urządzeniem. Chociaż krytyczny wiek nasz osobnego nie wymyślił stylu, jednak ciągle powtarzająca się potrzeba budowania dworców kolejowych wywołała przy szczęśliwie zaapli-

kowanym eklektycyzmie w ornamentyce, coś, co nieledwie by można nazwać stylem banhofowym. Często się w nim łączy żelazna konstrukcja ze szwajcarską ciesielką i maurytańskiem kamieniarstwem. Podobnież i Schenkla w Berlinie tu wspomnieć należy, który niejako nowy styl (Szenklowski) w budowę domów mieszkalnych wprowadził.

II. *W rzeźbie.* Przedewszystkiem alegoryczna rzeźba tu należy, jak wiadomo przez Rzymian wynaleziona (Sławna grupa Nil przedstawiająca). I dzisiejsza wspaniałe tworzy dzieła, np. Kanał Suezki, czyli apoteoza połączenia Europy, Azji i Afryki w pałacu Rivoletta w Trieście i pomniki Fryderyka VI. w Berlinie, Maryi Teresy w Wiedniu, to całe poemata, gdyż postumenta otaczają wszyscy sławni ludzie każdego zawodu, którzy zarazem stanowili podstawę sławy ich panowania. Wieleż grup symbolicznych na publicznych fontannach oznaczających różne rzeki itp.

III. *W malarstwie.* Naprzód wymienić należy obrazy historyczne przedstawiające narodowi najważniejsze wypadki lub najświetniejsze chwile z jego przeszłości, rodzaj, który się rozrósł i zacelował pod każdym względem. Nie rzadką też tu bywa i polityczna aluzya. Lecz powstało także i filozoficzne malarstwo prezentujące w sposób technicznie również doskonały, przy całej świetności kolorytu i pędzla i przy bogactwie i wspaniałości akcessorjów jakoweś prawdy moralne. Trudno wyliczać tu wiele przykładów, lecz ów potop, gdzie wszelkie węzły towarzystwa ludzkiego już pękły, a ostała się tylko jedna miłość macierzyńska (w osobie matki chcącej swe dziecko uratować, gdy już i władza i pieniądze i wszystko inne swój urok straciło), albo owe z ewangelji 7 panien mądrych i 7 głupich, które to ostatnie są personifikacją różnych stopni upadku cnoty niewieściej, dostatecznie myśl naszą objaśnią. Dosyć tu wspomnieć Kaulbacha, a Wereszczagin z illustracjami wojny rossyjsko-tureckiej także tutaj należy.

IV. *W muzyce* jedynie zdaje mi się, że kategorya o której mowa, mniej jest szczęśliwą. Popisywanie się głęboką nauką, poświęcanie melodji dla harmonji, rozwiązywanie teoretycznych łamigłowek, może się jedynie specjalistom i znawcom generałbasu podobać. Spohr, Glueck a także ów mistrz muzyki przyszłości Wagner tu koryfeuszami, o małej liczbie adeptów. Czy też przyszłości tej muzyki razem z jej prorokiem nie zawarto w grobie?

V. *W literaturze i poezji* z natury rzeczy kierunek ten najsławniejsze stworzył arcydzieła, Shaekspeare daje nam cały cyklus psychologii, Otello to zazdrość, Hamlet zemsta, Szyllok chciwość, Mackbet duma itp. Nawet i drobniejsze epizody są allegorjami. W Kupcu Weneckim Porcia, o którą się książęta starają, to angielska Elżbieta itd. Choć zupełnie inny co do sposobu traktowania przedmiotu, ma Molier z Szekspirem to wielkie podobieństwo, że nam psychologiczne studja przedstawia. Jego skąpiec, pyszałek itd. myślę, że słuszności mej uwagi dostatecznie dowodzą. Don Kiszot Cerwantesa i Faust Goethego to prawie ten sam przedmiot. Szlachetny rycerz to teorja wszelkiej krytyki pozbawiona, rozbijająca głowe o mur, a przecież Szanso Pansę, ów czysty empiryzm ciągle w pole wyprowadzająca. Z Faustem się stało, co z wielu uczniami Hegla, gdy aprioryczne badanie ich do skeptycyzmu doprowadziło, z hiperspekulacji wpadli w prosty materjalizm, a Wagner czy nie przypomina giermka hiszpańskiego rycerza. Szyller przedstawia w Zbójcach w Karolu radykalizm, w Don Karlosie w Markizie Poza liberalizm, w Tellu konserwatyzm, w Fiesku intrygę polityczną, w Miłości i intrydze broni równości w obliczu prawa. Tu należy pieśń o dzwonie, tu Mędrzec Natan Lesinga, tu Gutzkowa Uriel Akosta z przedstawieniem różnych kierunków i usposobień religijnych. Także romanse tendencyjne np. Nędznicy Wiktora Hugo. Chata wuja Tomasza Beecher Stowe i tyle innych.

Lecz tu zaliczam i poważny, gruntowny romans historyczny. Z jakąże ścisłością i dokładnością przedstawia Walter Skot dzieje instytucje i zwyczaje angielskie! Spindler w swym Żydzie więcej nauczy o niemieckich średnich wiekach niż dziesięć dzieł specyalnych, a Ostatnie dni Pompei Bulwera doskonale nas z rzymskiem życiem i archeologją obznajmiają.

VI. *W teatrze* francuzkim powstał nowy a znakomity rodzaj. Jest to przedstawianie obecnego życia i wad społecznych z całą prawdą i naturalnością przy wielkiem bogactwie treści i szczegołów; rodzaj ktorzy stworzyli Wiktor Sardou, Oktawiusz Feuillet i inni, a ktory zupełnie się różni od dawnej szkoły, jak to już powyżej wskazaliśmy.

VII. *W ogrodnictwie* nawet zrozumiano, że miejskie parki, a raczej ogrody, skwery i małe ogródki po miastach przy prywatnych domach się znajdujące i dla miejscowości i dla stosunków, jako też dla szczupłości przestrzeni nie mogą naśladować piękności natury i być parodyami parków. Zdołano więc połączyć piękność angielskich ogrodów z kobiercami kwiatowemi francuzkiemi w nową piękną i oryginalną całość.

Pod względem strojów nic tu niema do zauważania.

Klasyfikacja powyższa pomimo tego, że wiele za nią przemawia, że wykazuje wewnętrzne pokrewieństwo ducha w różnych dziełach zachodzące, i że ułatwia ich grupowanie, ma jednak, nie przeczę, i swoje niedogodności. Nie stoi ona bowiem w żadnym związku z chronologją nietylko ogólną, ale i pojedyńczych krajów, bo płody III. kategorji mogą w pewnych razach być dawniejszemi niż te co z IIgiej pochodzą, a nawet mogą być z utworami z I-szej kategorji współczesnemi, lub odwrotnie. Niedogodnem jest również, gdy tego samego poetę lub artystę trzeba pod dwie lub pod wszystkie trzy nawet subsumować kategorje. (Rafael np. malujący Madonny, loggie lub mitologiczne sceny i wreszcie stanze; Szyller, Goethe, i tylu innych). Lecz co najgorsza, że klasyfikacja ta nie zdoła niektórych mistrzów zaliczyć do żadnej kategorji, musi ich niejako jako wyjątki na boku zostawić, niby komety do systematu planetarnego nienależące, a trafi to zawsze pierwszorzędne jenjusze.

W każdym bowiem rodzaju sztuki napotykamy na wielkich artystów, swą własną, odrębną drogą idących. Działają oni w skutek wewnętrznego popędu i natchnienia, tworzą tak jak czują i jak tworzyć muszą. Należeliby więc do I. kategorji. Ale oni naturze gwałt zadają, ignorują co było przed niemi, działają excentrycznie i apriorycznie, ich poezja lub sztuka nie dba o świat; wypadałoby ich więc do II. zaliczyć.

Gdy jednak są rozumującymi, reflektującymi, filozoficznymi, a kolosalnie wielkimi, epoki stanowiącymi, nie możnaby im miejsca w III. kategorji odmówić.

Między jenjuszami tymi zachodzi nieraz uderzające, wewnętrzne podobieństwo. Przetłomaczmy rzeźby Michała Anioła na malarstwo, otrzymamy Rubensa. Zróbmy z jego obrazów dramat, to będzie Szekspir, ten przenieśmy w muzykę, a usłyszymy Wagnera. Wszyscy oni i duchem pokrewny im Lord Byron, nie są nam przyjemni, ból nam sprawiają, odstręczają od siebie. Trzeba ich badać, studjować, zgłębiać, a dopiero ich pokochać, chybaby inny jenjusz zadał sobie fatygę i płody ich na nowo obrobił, jak Szyller Hamleta i Makbeta Szekspirowego. Wpływ ich na sztukę nie był też wcale korzystnym, tembardziej, że ich uczniowie stali się zwykle ich karykaturami.

Przy całem więc koniecznem dla nich uwielbieniu nie możemy dzieł ich pod żadną kategorję podciągnąć i musimy tak je na uboczu same zostawić, jak na wystawach ogólnych owe obrazy, które nie chcą się poddać orzeczeniu przysięgłych,—hors concours się stawiają.

Ale niech sobie artystyczny lub poetyczny utwór należy do sztuki naiwnej, realistycznej lub filozoficznej, jeżeli on, aby był istotnie pięknym, ma nam podawać w estetycznej formie przekonania pewnego czasu i miejsca o prawdzie i o dobru, to będzie on, oprócz technicznej doskonałości nosił na sobie znamię, po którem go poznamy. Sygnaturą tą będzie jedność i zgoda pomiędzy składającemi go partjami, *harmonja między częściami.* Ta harmonja stanowi piękność okolicy, postaci, twarzy ludzkiej, piękność budynku, rzeźby, obrazu, dramatu i każdego dzieła poetycznego. Ta harmonja to piękność.

Harmonja zaś w sobie samym, harmonja w czynnościach i myślach naszych, harmonja w naszych zewnętrznych stosunkach, a wreszcie harmonja między indiwiduum a ogółem, to już więcej niż piękno, to szczęście.

Wiedeń 1883 r.

S. M.

CESARSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA

I METRYKA LITEWSKA W PETERSBURGU

W wielkim szeregu osobliwości petersburgskich zajmuje niezawodnie pierwsze miejsce biblioteka cesarska. Znakomicie urządzona, ciągle pozostająca pod opieką wyłączną tronu, rok rocznie się powiększa i coraz się rozwija. W danej chwili zajmuje ona niezaprzeczenie jedno z pierwszych miejsc w Europie i śmiało może stanąć obok najsławniejszych księgozbiorów, jakimi są: Watykański, Paryzki i Londyński. Biblioteki Wiednia i Berlina muszą ustąpić pierwszeństwa Petersburgowi. Z takim to cennym księgozbiorem mamy zamiar poznajomić czytelników i wraz z nimi odbyć przechadzkę po bibliotece. Pierwej jednak czujemy się w obowiązku wspomnieć w kilku wyrazach o sformowaniu się stopniowem biblioteki i o jej losach dziejowych. Z powodu, że główny zawiązek biblioteki petersburgskiej leży w zbiorach Załuskich od niego więc uważamy za stosowne rozpocząć opowiadanie nasze. Ścisłym związkiem kolei losów z biblioteką Załuskich połączonym jest los metryki litewskiej, która razem z pierwszą przybyła do północnej stolicy, jej więc poświęcamy drugi ustęp naszej pogadanki.

I.

BIBLIOTEKA CESARSKA.

Bracia Andrzej Stanisław († 1758) i Józef Andrzej (1701—74) Załuscy, w dziejach bibliotekarstwa polskiego zajmują wybitne stanowisko. Kiedy większość bibliotek polskich rozwijała się stopniowo i powiększała się powoli z biegiem całych stuleci, biblioteka Załuskich w przeciągu niewielkiego stosunkowo czasu zebrała taką ilość dzieł, jaką żadna z polskich bibliotek naówczas poszczycić się nie mogła. Założycielem jej właściwie jest Józef Andrzej, późniejszy biskup kijowsko-czernichowski. Wykształcony wszechstronnie, przez ciągłe podróże za granicą wszedł w szerokie stosunki literackie z największymi znakomitościami ówczesnemi i jeszcze za młodu powziął myśl zebrania jak największej biblioteki którąby zawierała wszystko co posiadała ówczesna literatura polska. Na wstępie tej działalności stały na przeszkodzie wypadki polityczne, które jeżeli nie dały mu możebności otworzyć odrazu publiczny księgozbior, nie przeszkodziły jednak stopniowemu zbieraniu ksiąg. Wyjazd ze Stanisławem Leszczyńskim do Lotaryngji dał mu sposobność skorzystania na rzecz biblioteki z wydań bogatych, jakie tam otrzymał. Gdy z wstąpieniem na tron Augusta III. stosunki wewnętrzne zaczęły się regulować, Józef Z. wrócił do kraju i osiadł w Warszawie. Tu otrzymawszy księgozbiór brata swego biskupa krakowskiego, otworzył bibliotekę dla użytku publicznego, a razem z nią pałac i muzeum oddał na wieczną własność krajowi. W testamencie Załuski powiada, że dar ten czyni dlatego, «ut exstet perpetuum quoddam quasi monumentum meae erga sedem apostolicam devotionis, cum qua (biblioteca) cupio huiusmodi legato conscienciam meam exonerare, si quos fructus ex reditibus meis ecclesiasticis, dum vixi, maleforsan, perceperim.» Papież Benedykt XIV. ogłosił w roku 1752 bullę, którą rzucał klątwę na wszystkich którzyby się targnęli na całość biblioteki [1])

Poeci współcześni w niezgrabnych rymach łacińskich wychwalali czyn Załuskiego. W skład tej biblioteki wszedł księgozbiór biskupa krakowskiego. Po jego śmierci (1758) z powodu niektórych formalności dar ten został wycofany i tylko 2500 tomów udało się zachować dla biblioteki warszawskiej, jak również kapitał z 46.000 złotych polskich złożony.

Bibliotekarzem zrobił Załuski niemca nazwiskiem *Jenisch*, który przyjął wiarę katolicką i począł nazywać się Jan Danjel *Janocki*. Oddał się on szczerze bibliotece i wydał pierwsze katalogi, które zjednały bibliotece Załuskich sławę europejską. Największą wartość mają: 1) katalog rękopismów: Specimen Catalogi codicum manuscriptorum bibliothecae Załuscianae exhibitum iussu et sumptu optimi et munificentissimi principis episcopi Cracoviensis [2]) 1752. 5 s. 175. i 2), katalog starych druków polskich: Nachricht von denen in hochgraeflichen Załuskischen Bibliotek sich befindenden varen polnischen Buchern Dresden 1747—1753.

Sam Załuski szczerze był oddanym bibliografji i wygotował dziesięciotomową bibliotekę historyków, część której wydał Muczkowski w Krakowie w r. 1832. O tej pracy sam autor tak powiada: «Ci wszyscy pisali, ja, sto razy więcej dołożywszy, zebrałem, dzieło napisałem w dziesięciu in folio tomach tym tytułem: Bibliotheca Polona magna universalis, wydam z czasem jeżeli zdrowie mi posłuży. Tu wyrażę, co się w tych tomach zawiera, by literaci raczyli przesłać, co też mają.» Wszystkie te dziesięć tomów są abecadłowym porządkiem napisane, wyjąwszy dziesiąty. (163).

Józef Załuski po niejakim czasie wyniesionym został na godność biskupa kijowskiego i czernichowskiego i lubił przebywać w Berdyczowie i na Ukrainie, jak to widać z egzemplarza biblioteki publicznej w Petersburgu Friesego: Vitae episcoporum Kioviensium et Czernihoviensium, napełnionego własnoręcznemi notatami biskupa. Tem się objaśnia dla czego Janocki drukował w Berdyczowie część swojej: Bibliografia Załusciana, której druk

---

[1]) Wyjmujemy kilka ustępów z tego testamentu, według przedruku zamieszczonego w Catalogue des Publications de la biblioteque imperiale 1861:

Bibliothecam meam annorum XLVI spatio magna diligentia ac sumptu congestam, quam integram conservari non solum familiae meae, sed etiam rei litterariae interest, dividi, vendi, ac dissipari veto eamque communem facio ita ut etiam exteris aliisque philologis ad usum publicum poent.

Cupio patriam meam dulcissimam tandem habere nescio quot librorum, quos nunc habeo vel sum forsitan habiturus, hoc lege, quod libri nec quomodolibet distrahantur.

Dono patriae meae omnes et singulos meos libros .. Quos quidem libros et scriptaras voto ad communem studiosorum utilitatem servari in ea bibliotheca, quae magno mihi olim adiumento fuit, cum iuvenis ibi literis operam darem, tum etiam ut extet perpetuum quoddam quasi monumentum meae erga sedem Apostolicam devotionis, cum qua cupio huiusmodi legato conscientiam meam exonerare, si quos fructus ex reditibus meis ecclesiasticis, dum vixi male forsan, perceperim.

...Et si contigerit aliquos libros et scripturas non reperiri, admoneat idem bibliotecarius eos qui libras huiusmodi clam detruuerint, incidisse in eam excommunicationem a qua non possunt absolvi nisi a Romano pontifice iuxta privilegium bibliothecae.

IV. *Leges custodis.*

1. Indicem expurgatorum et librorum prohibitorum in promptu semper habeto.

2. Libros vetitos ursi ei qui ad licentiam expsessam habuerit, non praebeto p. XII. ssqa.

[2]) O tem sam Załuski mówi w swej Bibliotece:

Szembeka Stanisława, pierwszego prymasa,
Mam autora, co scripta publica zawiera
W sobie, które za jego prymasowstwa wyszły.
Ksiądz Chmielowski Benedykt, co go kanonikiem
Swym uczynił, widząc go wcale zaniedbanym,
Legował rękopisma mi swe. Tam jest siła
O rzeczach polskich: czasu swego w druk je podam.
Więc in programmate masz literaria,
Którem wydał po polsku, a Schulz po łacinie
Jerzy przełożył drukiem podawszy we Gdańsku.
Ksiądz kochany Janocki wydał ci Specimen
Catalogi codicum mej manuscriptorum
(Załuski. Biblioteca, wyd. Muczkowskiego str. 58).

rozpoczął w 1763 r. Z dzieł Friesego dowiadujemy się, że w r. 1764 pośpieszył już do Warszawy na sejm. Tam:

(Ciąg dalszy nastąpi).

PRZEGLĄD LITERACKI.

Poezje Stanisława Grudzińskiego.

Dokończenie.

Po drobnych utworach następują większe. A więc naprzód idzie poemacik: Za Nerona. Po pięknym obrazie upadku życia moralnego Rzymu następuje pełne zgrozy opowiadanie o mękach Chrześcjan. Na „żywe pochodnie,“ na prowadzonego na śmierć „rybitwę z Galilei,“ św. Piotra, patrzało młode dziewczę strwożone i drżące.

Starzec ów święty był już niedaleko,
Wtem oko jego padło na stojącą
Wpatrzoną w niego, wzruszoną i drżącą
I łzę serdeczną dojrzał pod powieką,
Więc podniósł rękę i rzekł: Ocalona!
I poszedł dalej.....

Dziewczę umarło. Chrześcianom zgromadzonym w podziemiach kapłan oznajmia, że przed gmachem Nerona śpi dzieweczka oczekująca chrześciańskiego pogrzebu.

Idźcie pochować to dziewicze ciało,
Choć chrztu świętego ono nie zaznało,
Dusza jej żądzą zbawienia płonęła,
Siostrą jest waszą i w Bogu zasnęła.
. . . . Nie z ciała lecz ducha
Ochrzcić się trzeba, aby sercem czystem
W miłości wiecznej połączyć się z Chrystem,
Który nie mowy ale serca słucha.

„Zburzenie Persepolu“ jędrnością i siłą wiersza przypomina najlepsze utwory poezji naszej w tym rodzaju. Wśród orgji i szału Tais, kochanka Aleksandra żąda „by Persepolis zmieniło się w trumnę“. Rozkaz wydany, smolne pochodnie podpalają mury, gmach się wali, noże topią się w krwi perskiej. Po trzech dniach „Persji chwała spoczęła w popiele.“ Na szczątkach gmachu

Dymem owiana jakaś postać stała,
To Tais. Milczy wśród radosnych głosów
Nogę oparłszy na spadłej kolumnie,
Patrzyła w niebo spokojnie i dumnie,
W dłoni jej była pochodnia zgaszona
Kaskada włosów spadła na ramiona.
Na tle ich ciemnem jej oblicze blade
Drżało rozkoszą zemsty — za Helladę!

„Prolog“ na otwarcie teatru dobroczynności, wywołuje efekt połączeniem dwóch obrazów: hucznej zabawy i nędzy. Wiersz bez zarzutu, kontrast silnie zaznaczony, zakończenie bardzo szlachetne: królowa balu zbliża się do ubogiej dziewczyny, aby ją ogrzać przy sercu i wynagrodzić niesprawiedliwość losu. Pomimo to utwór ten należy do słabszych, znać w nim nieco sztuczną robotę.

„Hala“, obrazek z nad Wisły, opowiada dzieje wiejskiej krasawicy. Opowieść prosta: Hala kochała Janka, Janek pojechał wodą do Gdańska i nie powrócił, flisacy powrócili z wieścią o jego śmierci, Hala wyszła za mąż i została matką — wtem Janek powrócił, chce porwać Halę, ona się zgadza, lecz płacz dziecka ją wstrzymuje: matka zwyciężyła kochankę. Tutaj poeta śpiewa na nutę ludową, przyjmuje jej formę, często nawet zwroty, ale zawsze pozostaje sobą, jest artystą.

„Dwie matki“, obrazek z życia miejskiego, zamyka ten zbiór utworów Grudzińskiego. Dwie nieszczęśliwe kobiety zeszły się na cmentarzu i opowiadają bolesne swe dzieje. Zdaje się czytając opowiadanie pierwszej z nich, że więcej nieszczęśliwej matki być nie może: miała syna, który ją kochał był pięknym, rozumnym, chciwym wiedzy i kiedy świat zaczął się do niego uśmiechać zstąpił do mogiły. A jednak ta druga matka jeszcze nieszczęśliwsza: z pięciorga dzieci wychował się jeden syn tylko i ten zginął nikczemnie strwoniwszy siły i majątek. Opowiadanie to kończy słowy:

Syn twój w szlachetnym walcząc upadł boju
A mój tak marnie zginął w życia kwiecie!
Więc płacz nademną i odejdź w pokoju:
Moje upadło — twoje zgasło dziecię.

Skończyliśmy przegląd „Poezyj“, a wynik jego taki: Grudzińskiemu pod względem formy wiersza i czystości języka mało można zarzucić, jako poeta oryginalny wybija się on znacznie z tłumu dzisiejszych pieśniarzy swoją indywidualnością, odrębnym kolorytem, szczerością uczucia i wstrętem, jaki czuje do blagi i wyszukanego efektu. Nie szuka on poezji, nie goni za natchnieniem, — on poezję ma w sobie. Czasem wpada niepotrzebnie w rozumowanie, ale to może nie wina jego, tylko okoliczności i stosunków, wśród jakich żyje. Niech mu wolno będzie wypowiedzieć wszystko, co czuje i myśli, a będzie mógł stworzyć niejedną pieśń, niejeden poemat szerszego pokroju. Dowodem jego „Urwane akordy,“ pisane przed sześciu laty wśród innych warunków.

W ostatnich czasach dużo nam wpadło w ręce dzieł i broszur zatytułowanych: Poezje. W całej tej massie złożonej z kwiatów i chwastów nie znaleźliśmy nigdzie tyle uczucia, tyle serca i tyle bezpretensjonalności, co w poezjach Grudzińskiego. Może nam się smutno zrobiło po ich przeczytaniu, może życie wydało nam się jeszcze więcej przykrem i twardem, ale odkładając książkę zostaliśmy pod wrażeniem jej treści i szczerze byliśmy wdzięczni Grudzińskiemu, że spotkaliśmy się w jego zbiorku z poezją, a nie ze sztucznemi wyrobami podszywającemi się pod jej nazwisko.

K. B.

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

Z TEATRU.

Opóźnianie się „Przeglądu,“ usprawiedliwione już przez kronikarza tego pisma w ostatnim jego numerze, stało się powodem, że i my wciąż zalegamy ze sprawozdaniami z bieżącego ruchu teatralnego.

Pragnąc dziś te zaległości wyrównać, wchodzimy co prędzej *in medias res*, aby nawiązać przerwany w zeszłym numerze szereg sprawozdań w porządku chronologicznym.

Dnia 17 listopada odbyło się t. z. przedstawienie „składkowe“, złożone z dwóch oryginalnych komedyjek polskich, po raz pierwszy na naszej scenie oglądanych i z operetki Offenbacha *Wyspa Tulipatan*, odśpiewanej przez improwizowane miejscowe siły.

Pierwszą z przedstawionych komedyjek była „*Ciotka na wydaniu*“ Blizińskiego. Jest to drobna rozmiarami, lecz pełna wartości i prawdziwie polskiej werwy, z zacięciem powiedzielibyśmy Fredrowskiem (zaznaczamy, że nie syna, lecz ojca Fredrę mamy tu na myśli) komedja typów przesuwająca przed okiem widza parę bardzo charakterystycznych postaci z naszego społeczeństwa, tak rodzinnych i każdemu z nas — rzeklibyśmy — znajomych, że widzowi zdaje się jak gdyby je wczoraj jeszcze oglądał, obcował z niemi i kochał je. Taką jest siła talentu autora *Pana Damazego*, że w jego nowej komedyjce ciotka Filomena, stara panna, która w braku innego zajęcia krzewiła rozterkę domową pomiędzy swą siostrzenicą a jej mężem i p. Hilary, marcowy kawaler, który swą zacną i jowijalną osobą zapełnia próżnię w sercu ciotki Filomeny, są typami tak prawdziwemi aż do najdrobniejszych szczegółów i przytem tak pełnemi życia i humoru, że widz z niewypowiedzianą rozkoszą na nie patrzy. Punktem kulminacyjnym jest scena maryasza pomiędzy ciocią Filomeną a panem Hilarym, będąca rodzimą naszą, polską parafrazą słynnej sceny whistowej w *Safandułach* Sardou, nieustępującą w niczem tamtej pod względem plastyczności i artystycznej siły komizmu.

W doskonałe bo też dostały się ręce obiedwie rzeczone role. Panna Wojnowska, pozornie banalny, bo bardzo już ograny typ starej panny, potrafiła przedstawić z tak nowej i oryginalnej strony, tak go uszlachetnić i podnieść poważnie obmyślaną i rozumnie pojętą grą, zachowując jednak cechy wyższego komizmu, że rolę tę można zaliczyć do najlepszych i najszczęśliwszych kreacyj tej zasłużonej i utalentowanej artystki. Pan Szymański, jako p. Hilary, umiał również stworzyć postać niewypowiedzianie sympatyczną, a tak poczciwie i serdecznie jowijalną, iż grą swoją porywał zachwycał widzów.

Są w komedyjce jeszcze dwie role podrzędniejszego znaczenia: młodych małżonków Augusta i Emilji. Wykonane one były przez p. Sobiesława i panią Sułkowską bez zarzutu i przyczyniały się niemało do dobrego powodzenia miłej komedyjki Blizińskiego.

Również jak tamta ładną i udatną, lecz w innym zupełnie rodzaju jest komedyjka p. Swiderskiego *Dzieciaki*. Autor szczęśliwie zestawił

w niej kontrast wieku sędziwego z usposobieniem podlotka-dzieweczki, co jak ptaszyna w poranku wiosennym, to przelatuje z radośnym szczebiotem z drzewka na drzewko, to fruwa śmiało w nieznanych, rozkosznych promieniach gorącego słonka. I utworzył się z tego zestawienia poetyczny obrazek rodzajowy, w którym dziadunio, żyjący marzeniami w świecie lepszej przyszłości, deklamujący drżącym ale pełnym zapału głosem „Odę do młodości," porywający się wciąż do broni, której dziś już niema dla niego, jest wielce podniosłą, a nawet powiedzielibyśmy dramatyczną postacią, w której walczy siła ducha z bezsilnością fizyczną. Typ zaś wnuczki Lini urokiem dziecięcej naiwności żywości i wyższego iście poetycznego piękna przypomina ledwie żebyśmy nie powiedzieli, Zosię z Pana Tadeusza. Nie przesadna to, bo szczera, a jednak tak wysoka pochwała, że autor „*Dzieciaków*" jak sądzimy powinien by być z niej zadowolony, chociaż czynimy ją nie w celu schlebiania mu, lecz aby wymierzyć ścisłą sprawiedliwość.

A jednak musimy zrobić zarzut utalentowanemu autorowi *Dzieciaków*, że w jego ślicznym poemaciku dyalogowanym daje się uczuwać pewien dysonans. Oto jego Linia, ta milutka zacna i roztropna dziecina, w scenie bardzo pięknej i wysoce dramatycznej, gdy biedny dziadunio, przywykły do broni ogląda się za pałaszem, a znajduje zamiast niego tylko parasole, laski i cybuchy, nie znajduje dla zasmuconego starca ani łezki, ani słówka współczucia, lecz szydzi z tej metamorfozy z pewnego rodzaju okrucieństwem cynicznem.

Obsada komedyjki na naszej scenie była jak najtrafniejszą. P. Podwyszyński jako typowy, charakterystyczny dziadunio, umiał podnieść wszystkie tej roli korzystne i efektowne strony. P. Siemaszko w roli naiwnego studencika Munia stworzył postać tak poczciwą a pełną prawdy, że samem pojawieniem się swojem wywoływał grzmoty oklaskow. Co zaś do panny Pysznik, to młoda ta artystka wywiązała się z roli Lini tak zaszczytnie, a w scenach pieszczot z dziaduniem i niewinnej kokieterji z Muniem rozwinęła tyle uroczego wdzięku, że każda pierwszorzędna *ingénue* pozazdrościćby jej tej kreacji mogła.

Krótko się rozprawimy z operetką, którą tegoż wieczora wystawiono w teatrze. „*Wyspa Tulipatan*" jest rzeczą muzykalnie słabą, napisaną przez Offenbacha wówczas, gdy pierwsze dopiero stawiał kroki na drodze do swej sławy kompozytorskiej. Na domiar złego wykonanie operetki było bardzo dyletanckiem. Zamiast więc wszelkiej krytyki, przytaczamy tylko słowa księcia poetów polskich: „O Ryczywole zamilczeć wolę" i kończymy ten ustęp wyrazem podziwu, że dyrekcja naszego teatru miała odwagę porywania się do rzeczy, ktorej, że nie umiała podołać — było do przewidzenia łatwem.

1go Grudnia przedstawiono po raz pierwszy na naszej i w ogóle na polskiej scenie dość już starą „komedję historyczną" nieboszczki pani Birch-Pfeifer „*Noc balowa*".

Temat, około którego obraca się leniwie powolna i ślamazarna akcja sześciu odsłon tej „historycznej" komedji, jest wątpliwej autentyczności anegdota jakoby przy schyłku panowania Ludwika XIV., angielskiego posła Bolinbroka, przybyłego do Francji w niekorzystnej dla niej misyi dyplomatycznej, niedołężny syn królewski, młody książę du Maine, porwał podstępnie z balu i stawił przed wrzekomym Sądem tajnym, aby pozornie go zmusić groźbą śmierci do podpisania warunków pokoju, jakich Francja żąda, w rzeczywistości zaś, aby się pozbyć niemiłego rywala, posiadającego serce pięknej margrabiny de Vilette, dla której kulawy książę żywi nieodpłacane wzajemnością uczucia.

Temat ten dał pole autorce do utworzenia takich postaci historycznych jak Ludwik XIV. przy-schyłku żywota, jego morganatyczna małżonka pani de Maintenon, książę Orleański, książę du Maine itd., tudzież do odwzorowania pełnych wykwintności lecz zepsusych do gruntu obyczajów ówczesnego dworu francuskiego. Z tych zadań wywiązała się autorka nie źle, używając za główny ku temu środek wytworną, pełną retorycznych figur i niepozbawioną ostrego dowcipu konwersacją dworską. Nie obeszło się tu bez pewnej przesady, gdyż pani Pfeifer, powodowana widoczną predylekcją dla Anglika Bolinbroka, dla wydatnienia jego zalet i bohaterstwa, odarła większość Francuzów nawet z honoru. Wszelakoż ta strona utworu jest dość udatną, przedstawia bowiem dość plastycznie i pojedyńcze postacie i w ogóle stosunki zgangregowanego dworu króla i pani de Maitenon, śród którego fikcyjna bohaterka, margrabina de Vilette błyszczy jak cenna perła śród próchna.

Ale na tem też i koniec zalet sztuki pani Pfeifer. Brak w niej akcji i brak sceniczności, za to wszystkie 6 odsłon pełne są rozwlekłych dyalogów i monologów, które nużą słuchacza i nie wzbudzają najmniejszego zajęcia. Nadto, działające w sztuce osoby po większej części zjawiają się na scenę po to, aby oddeklamować swoją tyradę i znikają, aby znowu stawić się na zawołanie autorki jak *Deus ex machina*. To wszystko sprawia, że sztuka dobrego wrażenia zrobić nie może.

Przyczyniło się też może do upadku komedji to, że taka sztuka, aby się wydała korzystnie potrzebuje nader świetnej wystawy, o którą w naszym teatrze trudno, i obsady celującej w najpodrzędniejszych nawet rolach wykwintnością i elegancją bez zarzutu, czego nasz teatr dopełnić oczywiście nie mógł. Przyzwoicie też i mniej więcej znośnie wykonali swe role tylko pani Hofmanowa jako pani de Maintenon, p. Szymański jako król, panna Disterlo jako jedna z dam dworskich i panna Kałużyńska jako margrabina de Vilette. Reszta zaś obsady pożal się Boże jak wyglądała! Wyjątek tu poniekąd stanowił p. Arwin, który chodził i kłaniał się dobrze, ale za to miał rolę (lorda Bolinbroka) zupełnie dla siebie niewłaściwą.

Przystępujemy z kolei do sztuki nowej, przedstawionej w dniu 8 b. m. Jest nią komedja pp. Labiche i Duru: *Soboty*.

Utwór to komiczny i lekki, graniczący z farsą, ale jednak mający pewne cechy poważniejszej komedji, a przytem odznaczający się dobrą budową techniczną, żywością akcyi, dowcipem pomysłu, wykwintem w dyalogowaniu i niezrównanym humorem wielu scen i sytuacyj pociesznych i oryginalnych.

Człowiek zawsze niekontent z tego, co posiada. Prawda to nie nowa, ba, nawet stara jak świat, bo jej początku należy szukać w księgach Mojżeszowych, w tym rożdziale, gdzie jest mowa „o Adamie i o Ewie, o jabłku i o drzewie", ale cóż jest nowego pod słońcem? Skoro zaś prawdę starą przyodziać potrafi się w nową, a ozdobną i kształtną sukienką, jak to właśnie uczynili pp. Labiche i Duru, to czemuż jej odmawiać prawa obywatelstwa, zwłaszcza zaś na scenie spółczesnej, gdzie o zdrowe prawdy tak trudno?

Z tego tedy powodu można, zdaniem, naszem udzielić prawa obywatelstwa na scenie Odyssei, opowiadającej, jak pani Hermoza i p. Leon Jacotel kochali się czule i jakie urocze mieli schadzki *co sobota*, gdy p. Hermoza była mężatką. Następnie gdy p. Hermoza owdowiała i stała się żoną legalną p. Leona, jak oboje się z sobą nudzili i zaciekle kłócili, aż do skutku t. j. do separacji. I nareszcie, skoro rozłączyli się i utracili wzajemnie, jak znowu uparcie wzdychać i tęsknić do siebie zaczęli, aż to wzdychanie i tęsknota doprowadziły do komicznych tajemnych schadzek *co sobota* między mężem a żoną, jak gdyby między kochankami.

Taka jest treść komedji, napisanej dowcipnie i zajmująco i urozmaiconej paru komicznemi postaciami, między któremi pierwsze zajmują miejsce ojciec Hermozy, Normandczyk, Savouret śmieszny monoman słowności szlacheckiej i jego pupilka, śliczna lecz głupawa i żarłoczna jak wiewiórka sierota Roża.

Komedja ta podobała się stanowczo, choć jest zbytecznie słoną. Część przeważna oklasków dostała się w udziale za przewyborną grę: p. Frenklowi (ojciec Savouret), pani Sułkowskiej (Hermoza), panu Sobiesławowi (Leon) i pannie Koźmin (Roża).

Dotarliśmy nareszcie go ostatniego przedstawienia, o którem mówić jesteśmy obowiązani tj. do przedstawienia z dnia 15 grudnia.

Składało się ono z dwóch nowości i francuzkiej „komedji" 3-aktowej „*Telegrafem*" p. Fabriciusa i polskiej jednoaktówki p. Marjana Gawalewicza: „*Bibiński*".

O pierwszej z tych sztuk wiele mówić nie warto. Nie dlatego, że jest to farsa, bo z zabawnemi i dowcipnemi farsami zwykliśmy się rachować, jako z rodzajem sztuk tak dobrze w pewnych razach pożądanych na scenie, jak i inne, poważniejsze. Lecz dlatego krótko zamierzamy z elaboratem p. Fabriciusa rozprawić się, że jest pozbawionym nietylko wszelkiej myśli i treści, lecz nawet wszelkiego sensu i najelementarniejszych podstaw ladajakiego, mniej więcej przytomnego sposobu myślenia. Jest to jakiś bezmyślny taniec i chychot Poliszynellów, klownów, pajaców i innych dziwolągów nieludzkich, dzika orgija rozkiełznanych błazeństw i aberracyj umysłowych, licha i głupia ramota, na którą patrząc, niewiadomo czemu się bardziej dziwić i nad czem ubolewać: czy nad obłędem, który podobne szaleństwo stworzył, czy nad głodem dyrekcji, która takie rzeczy decyduje się wystawiać, czy nad aktorami. trwoniącymi na nie siły swe i pracę, czy nareszcie nad publicznością, której kazać słuchać podobnych wybryków waryackich jest to po prostu ubliżać jej i z niej dworować...

Et, rzućmy lepiej na to wszystko zasłonę i odżegnajmy się raz na zawsze od takich „komedyj..."

Powiedzmy natomiast słów parę o ładnej komedyjce p. Gawalewicza *Bibiński*, a która tak wyglądała przy tamtej, jak barwny i świeży kwiatek, wyrosły obok kupy śmiecia i mierzwy.

Nowa komedyjka pana Gawalewicza jest bodaj czy nie najlepszą pomiędzy dotychczasowemi utworami tegoż sympatycznego autora. Z wdziękiem, dowcipem i darem obserwacyjnym wciela on w oryginalne typy i w żywą akcję sceniczną myśl, że aby ognisko domowe stało się dla męża świętością i szczęściem, trzeba aby żona nie była cackiem tylko i ozdobą, lecz prawdziwą, poważną tegoż ogniska kapłanką, inaczej bowiem mąż znudzony własnem, lecz codziennie jednem cackiem, pójdzie szukać cacek innych, cudzych.

Myśl, jak widzimy zdrowa i prawdziwa, ale w uplastycznieniu jej autor zdaniem naszem chybił cokolwiek, gdyż żonę, mającą uosabiać ową odstręczającą męża lekkość, uczynił tak miłą, powabną, a przytem tak słodką, dobrą i nawet inteligentną, że w zboczeniach męża widz upatruje raczej jakiś jego własny popęd naganny, niż winę żony takiej lubej i miłej jak ją autor przedstawił.

To jest jedyny zarzut, jaki komedyjce uczynić możemy, bo zresztą jest to utwór pełen wdzięku, świeżości i oryginalności, zbudowany według wszelkich zasad scenicznych i każący się domyślać w autorze niepospolitych zdolności, które—jesteśmy pewni—mógłby użyć korzystnie dla prac donioślejszych niż je używa dotychczas.

Szkoda, że autor nie był obecnym na przedstawieniu *Bibińskiego* na naszej scenie, nie wątpimy bowiem, że interpretacja tutejsza jego utworu sprawiłaby mu niemałą przyjemność. Pani Sułkowska, Marya, stworzyła sympatyczny i prawdziwy typ dziewczęco-naiwnej, szczebiotliwej i rozpieszczonej kobietki. Pan Solski był wcale dobrym mężem zbłąkanym. Dobrze też dostrajali się do całości dwaj staruszkowie (pp. Podwyszyński i Stępowski), równie jak i p. Hilary, vulgo Bibiński, którą to rolę odegrał p. Zapałowicz.

Słowem i komedyjka i gra w niej artystów, jak najmilsze sprawiły na widzach wrażenie i sztuka powinna pozostać stale w repertuarze.

A. Z.

Echa muzyczne z Wiednia.

Dokończenie.

Trystan i Izolda, dramat muzyczny Ryszarda Wagnera. Długo, albowiem prawie lat 20 czekał ten dramat muzyczny przedwcześnie zmarłego mistrza na wykonanie w nadwornej operze w Wiedniu, aż wreszcie w październiku 1883 został tamże trzy razy wystawiony. Bawiąc właśnie wówczas w Wiedniu dla poznania niektórych oper i operetek dzielimy się z wrażeniami otrzymanemi z szanownemi czytelnikami „Przeglądu.“ Opera ta, czyli jak utwór ten sam reformator muzyki nazywa „dramat muzyczny“ ujrzała po raz pierwszy w ogóle światło kinkietów w Monachium w r. 1865 t. j. w lat 6 po skończeniu partytury; później wykonano ją w Dreźnie następnie w Berlinie w r. 1876 lecz nie utrzymała się tam na repertoarzu, podczas gdy „Lohengrin“ i „Latający holender“ obiegły świat cały. Nawet zapalonych Wagnerzystów sztuka ta mniej entuzjazmuje niż inne dzieła tegoż kompozytora, posiadając bowiem ustępy prześliczne, w całości jest dla słuchacza nużąca, gdyż brak w niej tercetów, kwartetów, w ogóle ustępów zbiorowych, przez co pozbawiona jest największego uroku muzyki.

Treść sztuki (Handlung) jest następująca:

Przy rozpoczęciu akcji znajdujemy Izoldę, dziedziczkę Irlandji wraz z swą towarzyszką Brangeną na pokładzie okrętu Trystana, które wiezie ją do króla Kornwalli starego Markego. Ozdobne płótna namiotu oddzielają ją od reszty osób będący na okręcie. Bohaterka spoczywa pogrążona w żałośnej zadumie, a z masztu okrętu dolatuje tęskna piosnka irlandzka. Izolda porwana gwałtowną boleścią zrywa się z miejsca, nie chce zostać żoną Markego, chce raczej umrzeć, w dzikiej rozpaczy wzywa wiatry i morze, by okręt i wszystko co na nim się znajduje pochłonęło. Towarzyszka jej Brangena pociesza ją, lecz nadaremnie; aby jej więc nieco ulgi przynieść i orzeźwić strapioną chłodnem morskiem powietrzem, odsłania płótna namiotu, podczas czego widzimy ster i maszty, a w malowniczem ugrupowaniu towarzyszy Trystana, w pośród których on sam stoi i steruje okrętem.

Znów dolatuje nas z masztu głos piosnki okrętowej; Izoldę porywa rozpacz, gdyż widzi Trystana, który ją zdradził, podnosi się dumnie i rozkazuje Brangenie pójść do Trystana i powiedzieć mu, by zaraz przed nią się stawił. Trystan usłyszawszy zlecenie wzbrania się zadość uczynić, mówiąc, „iż on steru opuścić nie może,“ podczas gdy Kurnewal w dzikiem urąganiu wykrzykuje: „iż ten, który koronę Kornwalli i Anglji irlandzkiej dziewicy w darze przynosi, gdy już poprzednio jej narzeczonego Marolda zabił — ten jej przecież nie może służyć“. W tym samym tonie urągają i inni majtkowie. Izoldę porywa bezsilna wściekłość, a zdumionej tą rzeczą Brangenie opowiada jak Trystan zabił jej narzeczonego Marolda, od którego był przedtem ciężko ranny. Dalej opowiada jak Trystan w wątłej łódce przybył chory do brzegów Irlandji, gdzie własnemi pielęgnowała go rękoma i leczyła; poznawszy w nim jednak mordercę swego kochanka, w uniesieniu porwała jego miecz i chciała bezbronnego zabić — atoli jedno spojrzenie jego óczu wzbudziło w niej litość i opuściła broń na ziemię. Jako podziękę zmusił on ją teraz do poślubienia starego króla Marke i uprowadza ją obecnie w jego objęcia, lecz nie ujdzie bezkarnie i musi zato wypić truciznę.

Z środków i leków czarodziejskich jakie posiada wybiera napój śmiertelny, aby na mordercy swego kochanka i zdrajcy Trystanie zemścić się, od zamiaru tego bezskutecznie Brangena chce ją odwieść. Wesołe okrzyki załogi zwiastują zbliżający się ląd i koniec podróży — wtem Trystan wchodzi do jej namiotu. Wezwany przez Izoldę, wypija bez namysłu podany napój, w którym przeczuwa truciznę, gdyż zakochany w niej do szaleństwa od pierwszego spotkania, nie chce żyć dłużej bez niej, a życie mu ciężarem. Podczas gdy Trystan spełnia podany mu puchar, wyrywa mu go Izolda, by wypić drugą połowę mniemanego trunku śmiertelnego; lecz mylą się oboje, gdyż Brangena, ażeby odwieść straszny los obojgu zmieniła napój i zamiast trucizny podała napój miłosny, którego skutkiem oboje porwani nagłym, szałem miłosnym padają sobie w ramiona. Okrzyki radośne załogi zwiastują koniec podróży i zbliżania się króla Marke'go.

Akt drugi przenosi nas do ślicznego parku w cudowną noc letnią. Izolda wychodzi z mieszkania i oczekuje tu kochanka. Zapalona pochodnia ma ostrzedz Trystana o niebezpieczeństwie, zgaszona zaś daje hasło, by się zbliżył. Zdala słychać odgłos rogów myśliwskich. Napróżno przestrzega Brangena, iż całe to polowanie o tak późnej dobie jest tylko podstępem Melota, sługi Markego, by złapać w tę pułapkę kochającą się parę. Izolda nie wierzy, a gasząc pochodnię daje umówiony znak i za chwilę uścisk miłosny łączy oboje. Wtem wbiega wierny Kurnewal i przerażona Brangena, a zaraz za niemi wchodzą król Marke z całem towarzystwem łowieckiem. Niespodziewany ten wypadek miesza Izoldę tak, iż pada zemdlona na ręce swej towarzyszki, lecz ocknąwszy się mówi otwarcie: „iż pójdzie wszędzie za Trystanem, gdziekolwiek on się uda.“ Wówczas Melot ujmując się za swym panem i królem wypada z dobytem mieczem na Trystana, ten zaś pod wpływem surowego, karcącego wzroku Marka opuszcza swą broń i dostaje pchnięcie od przeciwnika.

W akcie trzecim znajdujemy Trystana, którego wierny Kurnewal do Bretanji, ojczyzny Trystana, uniósł śmiertelnie chorego leżącego w zamku swych ojców. Pastuch przygrywa rzewną piosnkę i wygląda daleko na morze czy nie widać okrętu wiozącego Izoldę, jako jedyny ratunek dla niemocą złożonego pana. Wreszcie zbliża się z upragnieniem oczekiwana Izolda Trystan zrywa w szale gorączkowym obwiązanie rany i biegnie naprzeciw w objęcia ukochanej, w których wkrótce umiera. Izolda rzuca się na martwe zwłoki kochanka, a wtem zbliża się drugi okręt, wiozący króla Marke z otoczeniem. Biedny Kurnewal sądząc, iż ci zblizają się w zamiarze wrogim, rzuca się z bronią na nich i zabija Melota, zostaje atoli sam śmiertelnie ugodzony i ginie u boku swego kochanego pana.

Marke dowiedziawszy się prawdy od Brangeny, iż oboje ulegli skutkom miłosnego napoju a zatem jego nie oszukali, żałuje bardzo swego przyjaciela Trystana. Izolda podnosi się raz jeszcze; w czarownych widzeniach wielbi zalety Trystana, a po chwili wycieńczona upada i umiera na piersiach ukochanego.

W całem tem librecie, w całej zresztą sztuce widzimy raczej pewien *nastrój dramatyczny*, lecz brak tu właściwego działania; to nie dramat lecz rozumowanie. Nie równie wyższe znaczenie niż słowa tego dramatu posiada muzyka. Opery Wagnera nie można porównywać z utworami klasycznych mistrzów, albowiem dzieła tegoż mają swój właściwy i odrębny charakter. Mają również swe estetyczne usterki, a głównie unikanie umyślne kwartetów, sekstetów pod pozorem nienaturalności a niepotrzebnem rozwleczeniem myśli muzycznej w jakiś nieprzerwany dyalog.

Pomimo tych dążeń odrębnych muzyka Wagnera wzbudza podziw nawet u tych, którzy z kierunkiem tego mistrza jak tu np. w „Trystanie“ do ostatecznych kosekwencyj doprowadzonym — nie sympatyzują. Charakterystyczną zaś cechą muzyki w „Trystanie“ jest, iż składa się ona z drobnych motywów, drażniących zmysły modulacji, a całość na końcu dzieła robi wrażenie nużące. Każdy atoli akt posiada piękności, które i u niewagnerzystów budzić podziw muszą; weźmy np. w akcie drugim (scena pierwsza) towarzyszenie orkiestry do słów Izoldy:

„Nich Hörner schall
Tönt so hold;
des Quelles sanft
riesende Welle“ i t. d.

jaki tu nastrój wzniosły panuje w tej muzyce.

Cały ten dramat muzyczny głównie opiera się na chromatyzmach, alterowanych akordach i już w nim zarówno jak i w „Nibelungach“ grają

główne role *przewodnie motywa* (Leitmotiv) [1]). Nie przeszkadza to jednak temu, że są tam miejsca prześliczne, wspaniałe, do których zaliczyć musimy w pierwszym rzędzie: wspaniałą uwerturę, następnie w akcie pierwszym pieśni Kurnewala, chór żeglarzy i zakończenie pierwszego aktu.

W akcie drugim po żywo pulsującej przegrywce, w scenie, gdy słychać zdala odgłos rogów myśliwskich, rozróżnia znawca w chaosie łamanych akordów, wesoły ton rogu, który w melodyjnem i kontrapunktycznem połączeniu głosów zlewa się i jako echo miękko się gubi. Jest to muzyczna idylla upajającej piękności. Gdy Trystan zbliża się na umówioną schadzkę, przyjście to zaznaczone jest w orkiestrze forsownem wydobywaniem się w górę basów. Motyw zbliżania się Trystana i to pewne wzruszenie miłośne Izoldy jest w orkiestrze tematycznie mistrzowsko złączone i przeprowadzone.

W całej tej operze najwięcej nam podobał się duet miłośny Izoldy. i Trystana. Nużąca jest następna scena, gdy zbliża się król Marke i zaczyna kazanie przez 200 taktów, ustęp ten ma wszakże wartość muzykalno-deklamacyjną. Potem po zapytaniu króla o przyczynę tego czynu, odzywają się instrumenta dęte drewniane i czarodziejsko słodkiemi tony słyszymy uroczy motyw napoju miłosnego (des Liebestrunks), który już w przegrywce słyszeliśmy, a który to motyw wszędzie brzmi, gdzie mowa jest o miłości.

W akcie trzecim i ostatnim wyróżnić należy introdukcją do tego aktu. Rozpoczyna się akt ten w ciężkich, smutnych akordach (f-moll); w skrzypcach słyszymy zwiększone kwarty. Podziwu godny jest, w czem Wagner tak celuje tj. *nuta pedałowa* (Orgelpunkt) na tonie *G*. Gdy Trystan dowiaduje się, iż Izolda ma przybyć, gwałtowne jego wzruszenie, jego gorączkowe fantazje mistrzowsko są muzyką illustrowane. Dalej idzie przybycie Izoldy i wspaniałe zakończenie tak zwane, „śmierć miłosna Izoldy“ (Isoldens Liebestod). Przy końcu aktu III. słyszymy raz jeszcze „pieśń miłosną.“ W finale podnosi się cała orkiestra do wspaniałego krescenda, a następnie w odgłosach harfy pianissimo się gubi.

Wykonanie tej opery w Wiedniu było wzorowe. Najtrudniejsze role mieli pani Materna i p. Winkelmann z powodu, iż muzyka jest bardzo trudną do spamiętania, że prawie niepodobna te niemożliwe interwale czysto i pewnie oddać i spamiętać.

Króla Marke śpiewał p. Skaria, Kurnewala p. Sommer a Brangenę pani Papier. Wystawa opery i kostiumy świetne.

Orkiestra tak znakomita o jakiej nam u nas zaledwie marzyć wolno; obsada tejże zadowoliłaby najwybredniejsze wymagania, a dość gdy naznaczę, iż samych kontrabasów jest ośm, stosownie do tego idą rozumie się wiolonczele, altówki i skrzypce. Głosy solowe obsadzono pierwszorzędnymi profesorami pojedyńczych instrumentów.

Jeszcze słów kilka dodamy o głośnej a nas bliżej treścią swą obchodzącej operetce p. t. *„der Bettelstudenlt* (*Palestrant*“) w 3 aktach, słowa F. Zolla i Ryszarda Genée'go, muzyka Karola Millöckera. *Rzecz dzieje się za czasów Fryderyka Augusta* II. zwanego silnym w roku 1704 w Krakowie. Nie będziemy wchodzili w szczegóły tej ślicznej lecz w Wiedniu już nie nowej operetki, gdyż sądzimy, iż ponieważ lwowska dyrekcja ją wystawia, przeto może i my ją wkrótce usłyszymy; nadmieniamy tylko, iż począwszy od uwertury, znachodzimy same ładne melodje i ustępy chóralne. Głównym motywem przewodnim powtarzającym się tak w solach, chórze i orkiestrze jest motyw w d-mol *„ach „ich hab's, Sie ja nur, in die Schulter geküsst*“. Milutką jest piosnka ich setz' dem Fall“ jako też piosnka o „Polkach.“ Byliśmy na tej operetce w teatrze *na Widenie* w dniu 7 października b. r. gdzie grano ją wówczas po raz *127* — raz po razu. I rzeczywiście operetka ta na takie wyszczególnienie zasługuje.

Maurycy Sieber.

DROBNE WIADOMOŚCI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Literackie i naukowe.

— *Konkurs „Biblioteki Warszawskiej“* na temat „Wzór obywatela współczesnego“ nie udał się znowu. Z trzech prac nadesłanych komitet sędziów żadnej nie mógł przyznać nagrody, wzywając autorów, aby się po rękopisy zgłosili.

— P. *Jan Gnatowski* w rozprawce p. t. Jeden z prądów naszej poezji współczesnej. (Bibl. Warsz. zeszyt grudniowy 1883) a mającej za przedmiot poezje M. Konopnickiej, tak się o tej poetce na końcu wyraża: „Talent, mimo artystycznej doskonałości form, nie pierwszorzędny; kierunek umysłu, pomimo jego szlachetnych porywów skrzywiony, nie zdrowy i w owocach swej twórczości bardzo szkodliwy.“

[1]) *Uwaga.* Motywa przewodnie (Leitmotive) są to krótkie, z kilku taktów złożone frazy muzykalne, które mają w mowie tonów być oddaniem myśli osoby wchodzącej w dramacie.

— „Przegląd polski“ staje się organem profesorów Uniwersytetu i zapowiada bardzo korzystne zmiany i ulepszenia. Jako naczelni redaktorowie podpisani prof. St. Tarnowski i St. Koźmian.

— *N. Lubowicz* doc. Uniw. warsz. (rossjanin) napisał „Historją reformacji w Polsce“ a opierając się na nieznanym dotąd materjale rękopiśmiennym doprowadza historję do r. 1563, ale uwzględnia przedewszystkiem tylko Kalwnów i Antitrynitaryuszów.

— P. *Kalikst Wolski* wydał popularną historję polską po angielsku p. t. „Poland her glory, her sufferings, her overthrow.“

— P. *Edward Jelinek*, redaktor „Sborniku slowanského“ wydał na gwiazdkę dla Czeszek i Morawianek elegancką książeczkę p. t. „Polske paní a dívky.“ Pierwsza część historyczna ma za przedmiot zasługi Polek w sprawach narodowych, w drugiej znajduje się 6 nowellek, z których każda przedstawia jakiś piękny rys polskiej dziewicy.

— Od N. R. ma wychodzić w Lipsku nowe pismo specjalnie poświęcone krytyce p. t. „Wissenschaftliche Literatur-blätter.“

— *R. Roepell* wydał w Wrocławiu broszurę p. t.: Karl Wenceslaus v. Rotteck.

— Nakładem Brokhausa w Lipsku wyszła *Schliemana*: „Troja. Ergebnisse meiner neusten Ausgrabungen.“

— *Zeuschner O.* wydał w Lipsku: „Internationaler Citatenschatz.“ Co za radość dla autorów . . . . . wstępnych artykułów.

— *Prof. Ladenburg*, nowy rektor uniwersytetu w Kiel jest trzecim z rzędu żydem godność tę piastującym. Przed nim byli rektorami: filozof *Rosenthal* w Erlangen i *Berendt* prof. prawa w Greifswaldzie.

† *Wiktor de Laprade*, poeta francuski ur. r. 1813 zmarł 14 Grudnia w Paryżu. Wielki rozgłos zyskał już w r. 1841 poematem Psyché. Później wydał Symfonje (1855) i Idylle bohaterskie (1858).

† *Henryk Martin*, członek akad. francuskiej, słynny historyk zmarł 14 Grudnia w Paryżu. Najwięcej z jego dzieł rozgłosu miała „Historja Francyi“. Znane były sympatje zmarłego dla naszego kraju.

— Dramat *Jerzego Ohneta*: Le Maitre de Forges przedstawiono w b. m. w Paryżu w teatrze Gymnase.

— W teatrze Ambigu w Paryżu wystawiono sztukę „Pot-Bonille“ przerobioną ze znanego romansu *Emila Zoli*.

— W tych dniach wyszły w Warszawie dwa zbiory poezyj, a mianowicie *Hajoty* i *Czesława*. Cena każdego tomu 1 złr. 40 ct.

— Autor kryjący się pod lit. *A. O. M.* wyda w tym miesiącu kilka nowelek p. t. Z italskich wspomnień. Nakładcą jest księgarnia K. Bartoszewicza.

— Nakładem księgarni K. Bartoszewicza wyszło dzieło hr. Izydora Dzieduszyckiego p. t. Der Patriotismus in Polen. Jestto tłomaczenie cennych odczytów o patrjotyźmie w Polsce wyszłych nakładem tejże księgarni. Wydanie niemieckie kosztuje 2 złr. 50 ct.

— Pierwszy Nr. „Przeglądu powszechnego“ przedstawia się pokaźnie. Zawiera kilka gruntownych rozpraw i dobrą kronikę bibliograficzną.

— We Lwowie wyszedł pierwszy numer „Ogniska domowego“ pisma illustrowanego.

— Pierwszy zeszyt „Pereł humoru polskiego“ wydawanych przez K. Bartoszewicza ukaże się w połowie Stycznia.

— P. *Stanisław Skrzyński* wydał dzieło o Andrzeju Zamojskim.

Z dziedziny malarstwa, muzyki, rzeźby, teatru i architektury.

— W „Kronprinz-Album“ wydanem na pamiątkę zaślubin arcyksięcia Rudolfa przez „Gesellschaft für Vervielfältigende Kunst“ znajdujemy dwa miedzioryty artystów Polaków: p. *Ant. Kozakiewicza* „Wesele krakowskie w okolicach Krakowa“ i p. *Tad. Rybkowskiego* „Obchód weselny huculski w obecności cesarza Franciszka Józefa.

— *Antoni Springer* wydaje w Lipsku nowe wydanie znacznie przerobione znakomitego dzieła p. t. Raffael und Michel Angelo“.

— „Histoire de l'Art dans l'Antiquité“ wydawanej przez pp. *G. Perrot'a* i *Ch. Chipieza* w Paryżu wyszło już dwa tomy, z których I. obejmuje Egipt, II. Chaldeę, Assyryę i Fenicyę.

— W „Bibliotèque de l'enseignement des Beaux-Arts“ wyszły dwa bardzo popularne podręcznika: „Manuel d'Archéologie grecque“ i „Mythologie figurée de la Grèce“ przez *M. Collignona*.

† *Ulyses Butin*, malarz francuski zmarł 9 Grudnia w Paryżu. W r. 1881 został kawalerem legji honorowej. Główne jego prace są: l'Attente, le Départ, la Cabestan, la Femme du marin, l'Enterrement itd.

— Restauracja zamku malborgskiego zbliża się ku końcowi.

— Na pomnik *Cavoura* przeznaczyła rada miasta Rzymu 300.000 lirów.

— Dnia 3 Kwietnia 1884 r. otwartą będzie w Pałacu Kryształowym w Sydenham pod Londynem wystawa międzynarodowa sztuki.

— „Herodjada“, piękne dzieło dłuta prof. *W. Gadomskiego*, wystawiona będzie w Wiedniu.

Koniec roku 2-go.